

P. II. 413

Wydawnictwo  
Instytutu Literatury  
Kierownik: P. A.

# *inaczej*

JEDNODNIÓWKA LITERACKO-SPOŁECZNA

# Inaczej

JEDNODNIÓWKA LITERACKO-SPOŁECZNA

Kraków—Wrzesień 1945

## TREŚĆ:

- INACZEJ — słowo wstępne.  
WOJCIECH NATANSON — Najlepsza publiczność dla młodych.  
ADAM WŁODEK — Punkt wyjścia.  
JERZY POGORZELSKI — Autobiografia.  
HANKA PIEKARSKA — Powstanie.  
WISŁAWA SZYMBORSKA — Janko-muzykant.  
TADEUSZ KUBIAK — Żołnierz nieznan.  
TADEUSZ NUCKOWSKI — Perspektywy.  
ROMAN ARTYMOWSKI — Jutro.  
WŁADYSŁAW MACHEJEK — Przy tobie.  
ZOFIA KARAŚ — Morze  
JANINA LIPSKA — Dziecko.  
WILHELM MACH — Tobie dalekiej.  
TADEUSZ JĘCZALIK — Noc dziele.  
NIK ROSTWOROWSKI — W szpitalu.  
JADWIGA ORZECZÓWNA — Tryptyk Marii.  
EDWARD MARZEC — Podwórko.  
HALINA NIKOŁAJEWA — Wiersze (Przekłady Tatiany Topolskiej.)  
STER — Z niedawnej przeszłości (rys.).  
ADAM WŁODEK — „Satyra prawdę mówi...“  
KRONIKA — „Walka” — Krakowski Klub Młodych Literatów — Poniedziałki teatralne w Klubie — Teatr Akademicki w Rotundzie — Teatr „Groteska” — Studio Teatralne w Krakowie — Dwa tomiki.

Zredagował

ADAM WŁODEK

przy współpracy:

TADEUSZA JĘCZALIKA

I

WILHELMA MACHA

Okładkę projektował

Adam Hoffmann

Wydawca:

ZESPÓŁ MŁODYCH

Zamówienia, rękopisy i listy, oraz osobiste zgłoszenia kierować na adres: Kraków, Dunajewskiego 1, II p., m. 5.

Drukarnia I pod zarządem państwowym — Kraków, Wielopole 1.

M—03814

# INACZEJ

Nie występujemy po raz pierwszy. Spotykaliśmy się już z czytelnikiem na łamach „Dziennika Polskiego” w Krakowie. Niech więc ci — (nawet z pośród naszych przyjaciół), którzy żartowali, że „Walka” była tylko walką z tytułu — przekonają się, że dotrzemy słowa danego w ostatnim numerze owego tygodnika:

„Zamknięcie działalności „Walki” nie oznacza wcale ustąpienia z pola... Nie ma dla młodego pisarza takiej sytuacji, która by mogła wytrącić mu pióro z ręki. Jesteśmy więc pewni, że pod inną może nazwą, w innym układzie sił, lecz ze spojrzeniem utkwionym w ten sam cel — spotkamy się napewno”.

Słowo w słowo zgadza się. Przystępujemy więc na nowo do „walki”, by ponad głosy krzyczących fałszywie: inaczej — (a czyniących: tak samo jak dotychczas), utrwalić spokojne stwierdzenie artystyczno-życiowe: INACZEJ.

Nie dało się tego zrobić w „Walce”. Brak miejsca na rozwinięcie wszystkich naszych możliwości, liczenie się z „macierzystą” linią redakcyjną (czasem odmienną od naszej) — oto główne powody. Były też wtedy (jak i dziś zresztą) jeszcze inne przyczyny. Chociażby bojkot młodych uprawiany przez „Odrodzenie”. Bojkot tym groźniejszy, że niedostrzegalny. Odsyłano bowiem młodych do „Walki”, (— macie przecież własne piśmo —). Dlaczego zaś „Walka” nie mogła drukować — o tym mowa wyżej. Tak więc: perpetuum mobile.

Lecz o tym dość.

Zespół nasz, grupując coraz więcej młodych pisarzy, (przede wszystkim poetów), staje się pozycją, której nie można ominąć. Ważności tej pozycji (— jedynej zwartej grupy literackiej młodych w Polsce —) nie mierzymy doniosłością i rewelacyjnością osiągnięć. Jak to udowadnia jeden z artykułów dzisiejszej jednodniówki — rewelacji takiej obecnie nikt dać nie potrafi. Na tej więc zasadzie należy nam się równouprawnienie w życiu literackim. Zwłaszcza, że mamy odwagę stwierdzić śmiało, że dopiero — idziemy.

W imieniu wszystkich młodych podkreślamy: trzeba utworzyć pismo dla wchodzących w życie literatów, a w każdym wypadku co najmniej stałe kolumny dla debiutantów we wszystkich czasopismach artystycznych. Nie wszyscy bowiem z pośród nas dostąpili trwałego „błogosławieństwa druku”, a przecież nie jednemu jeszcze napewno się to należy.

Apel ten kierujemy przede wszystkim pod adresem Związku Zawodowego Literatów Polskich. Znała się piękna inicjatywa na stworzenie Klubu Literackiego Młodych przy krakowskim oddziale Związku — niech znajdzie się i pismo. Zwłaszcza, że my, główny trzon tego Klubu, jesteśmy już zorganizowani (w dużej mierze nawet poza klubowymi zebraniem) — i każdy krok w naszą stronę nie będzie ograniczał się już tylko do pracy nad nami, lecz dać może również współpracę.

Wytworzyliśmy sobie spistość grupową, życie dało nam zręby ideologiczne. Bo jeśli w dziedzinie poglądów na sztukę mogą istnieć między nami pewne różnice zdań, to w kwestii podejścia do spraw ogólnych łączy nas hasło, tak już wyszarżate od użycia, a tak domagające się powszechnej realizacji: prawdziwa demokracja. Jedyna gwarancja wolności. Bo nie wystarczą sprzyjające postępowi ramy ustrojowe — trzeba też zmienić człowieka. A to jest przede wszystkim sprawą literatury.

Nie pierwszy raz o tym mówimy, dlatego spokojnie i pewnie — idziemy dalej. Aby w literaturze — a poprzez nią i w życiu — było naprawdę INACZEJ.

Piszemy te słowa w dniu, który jest wspomnieniem najdramatyczniejszej w dziejach naszego kraju chwili — lecz dzień ten rzeczywistość pozwala nam dziś po raz pierwszy pozdrowić wolnością i pokojem.

A tak! moment najmocniej zobowiązuje.

**Zespół**

Kraków — 1 września 1945.



# Najlepsza publiczność dla młodych

Drukując poniższy artykuł, napisany dla nas przez znanego krytyka i esesłkę dr. Wojciecha Natansona — zapraszamy wszystkich interesujących się naszymi sprawami pisarzy do

kontynuowania tej formy współpracy.

(Red.)

*„Tylko ten będzie malarzem, obejmującym wielki i bogaty zakres świata, kto od pierwszego drgnienia brzasku do najciemniejszej północy będzie przeżywał wszystko sam”.*

*„Jaką szczególną mieszaniną sprzeczności jest życie! I czy każde pokolenie musi być antytezą i aneksją poprzedzającego? Więc położyliśmy walczymy przeciw niewoli szkolnej, przeciw stadowemu duchowi w sztuce... żebyście wy, młodzi, właśnie czuli się dobrze w szkolnym systemie? Poco się stacza polemiczne walki, poco się pisze książki... jeśli nikt nie wyprowadzi z nich wniosku, jeśli ta młodość, o której prawa się walczą, sama z nich rezygnuje i kładzie szyje w obroże? To są pytania bolesne, których nie mogę nie stawiać”.*

(Stanisław Witkiewicz: „MYŚLI”)

Przytoczyłem jako „motto” tego artykułu dwie myśli, a raczej dwa gwałtowne wypadki jednego z najświetniejszych polskich estetyków, autora książek o Juliuszu Kossaku, oraz o „sztuce i krytyce u nas”, Stanisława Witkiewicza. Fatalnie rozrzućny i marnotrawny system, który się u nas zakorzenił, oraz ustawiczne kataklizmy, przerywające ciągłość naszej kultury, sprawiają, że najświetniejsze myśli idą na marne i w zapomnienie. Zagubiły się więc także i uwagi Witkiewicza. A szkoda! Należałoby je raz jeszcze dokładnie przemyśleć. Witkiewicz uważa, że najgroźniejszym niebezpieczeństwem dla rozwoju sztuki jest szkolarnstwo „kładące dobrowolnie szyje w obroże”. Myślał o malarzach. Ale można by, te słowa zastosować i do pisarzy!

Szkolarnstwo wciąż się przyczaja i wciśka. Opiera się na przekonaniu, że istnieją jakieś gotowe formuły, schematy, systemy, rusztowania w sprawach sztuki. Że można się „nauczyć” pisania, że można „wykuć” twórczość artystyczną, jak się „wykuwa” tabliczkę mnożenia. Że można zostać literatem, pilnie studiując dzieła pisarzy starszych. Szkolarskie pomysły są nieraz bardzo osobliwe. Np. przed wojną zaproponowano zupełnie poważnie... stworzenie szkoły dla młodych krytyków teatralnych. Cały sens sztuki polega na ustawicznym jej rozwoju; powtarzanie — to epigonizm, nieruchomość, zagłada twórczości. Krytyk ma torować drogi, prostować ścieżki nowym twórcom; musi ich często wyprzedzać. Zapędzanie młodych krytyków do jakiejś szkoły teatrolologicznej — musiałoby w nich zabić myśl samodzielną. Człowiek naprawdę nauczyć się może tylko tego, co sam przeżył, przemyślał, zdobył. Wiedza o sztuce związana jest ze sprawami jak najbardziej osobistymi, ze światem własnych radości i cierpień. Dość samotnie wypowiadałem przed wojną te prawdy, napozór tak oczywiste. Tylko Helena Wielowiejska w „Naszym Wyrazie” poparła moje antyszkolarskie stanowisko.

Ale to nie znaczy, by odrzucając szkolarnstwo i dążąc do samodzielnosci, należało ignorować i zaprzepaszczać dorobek przeszłości. Kto chce mieć własne wizje artystyczne i samo-

dzielne kryteria — musi wprzód poznać to, co dotychczas działo się. Rewolucja nie rodzi się w próżni. Nowatorstwo jest wysnuciem dalszych wniosków; nawet antyteza jest w pewnym sensie — kontynuacją. Czyż możliwe byłyby „Ballady i romanse” Mickiewicza bez poetów epoki Stanisławowskiej? Szekspir bez Marlowe’a? Victor Hugo bez „aleksandryzmu”?

Jakaż więc winna być rola pisarza starszego wobec młodzieży? Czy bierna i obojętna? Mauriac wspomina ze wzruszeniem, że zdołał przezwyciężyć trudności swego debiutu dzięki gorącej i niespodziewanej pomocy Barres’a. Anatol France opowiada w „La Vie Litteraire” jak jesienią 1873, mając lat zaledwie 20, „głęboko wzruszony, trzymając się za serce” dzwonił do drzwi małego apartamentu, gdzie mieszkał Flaubert. „Wyciągnął do mnie rękę, powiedział mi kilka dobrych słów i od tej chwili zacząłem kochać pisarza, którego podziwiałem”. Gustaw Flaubert był bardzo dobry. Miał zadziwiającą łatwość entuzjazmu i sympatii. (Może dlatego był zawsze wściekły. Miał stale jakąś krzywdę do pomśzczenia).

U nas przed wojną trzej przede wszystkim pisarze pomagali młodym: Irzykowski, Chwistek i Pejper. Natomiast grupa „Wiadomości Literackich” zachowywała się wobec młodych nie tylko obojętnie, ale i wrogo. Uważała ich twórczość za atak na własne „prawa nabyte”, za... „niełakt”. Rada by była większość młodych wcisnąć do swej „Camera obscura”. Równie egoistyczną była niegdyś i „Młoda Polska”. Np. Przybyszewski znajdował złośliwą radość w podstępny wyszydzeniu nowicjuszy. Dlatego, być może, tak smutny widok przedstawiają epigoni „Młodej Polski”, którzy w okresie nam współczesnym stali się wręcz synonimem złego stylu i artystycznego ubóstwa.

A więc:

Pisarze starsi, bardziej doświadczeni i dojrzałi! Zadaniem Waszym jest — torowanie drogi literackiej młodzieży. Nie starajcie się bynajmniej narzucać jej Waszego poglądu na zjawiska, Waszych wizyj, metod, form czy techniki. Uczcie młodych, że powinni dotychczasową twórczość poznawać — ale i przezwyciężać. Że nie wolno upajać się pierwszym powodzeniem, ani zniechęcać — następną klęską. Wy, starsi pisarze, powinniście być idealną publicznością dla młodych. Kto ich lepiej zrozumie, odczuje, odgadnie, skrytykuje (lecz bez niechęci), uchroni przed megalomanią, — ale i przed strachem?

A Wy młodzi:

Nie dozwołcie, by wokół już „uznanych” pisarzy wytworzyła się atmosfera skostnienia i adoracji. Przewracajcie „hierarchie”, rozbijajcie szablon! Bądźcie wnikliwi i czujni, sumienni i baczni! Dyskutujcie ze starszymi, starajcie się ich poznać, przeniknąć! Nie wiercie zbyt pewnym siebie, demaskujcie „hochstaplerów” i blagierów. Unikajcie umysłów szkolarskich i chwalców „zdrowego rozsądku”! — Gdy „starzy” i „młodzi” staną się wzajemnie dla siebie najlepszą publicznością — rozkwitną będą liczne i bujne talenty!

# Punkt wyjścia

W szóstym n-rze „Walki” (4. IV. br.), w artykule pt. „O nowy światopogląd literacko-społeczny” — rzuciłem kilka uwag o poezji polskiej międzywojennego dwudziestolecia i o znaczeniu poszczególnych twórców na tle tego okresu. Już wtedy wiedząc, iż z różnych przyczyn artykuł ten nie może stanowić cyklu szeroko rozbudowanych stwierdzeń — nazwałem go „przejechaniem się po faktach i problemach”. Kilka miesięcy, jakie mnie dziś od tamtego „przejechania się” dzieli, szereg nowych, narastających z dnia na dzień zjawisk artystyczno-społecznych, i wreszcie wiele świeżych spostrzeżeń — to wszystko daje podstawę do szerszego nieco ujęcia owych zagadnień.

Chcąc pełniej wyrazić najistotniejsze myśli, ograniczę się do kilku tylko poetów ostatniego dwudziestolecia, (a nie grup — jak to uczyniłem poprzednio). Utwory ich jednak są wystarczającą podstawą do wykrycia wpływu, (dodatniego czy ujemnego), jaki na poezję naszą wywarli, oraz do podkreślenia tych elementów ich twórczości, które dziś — w innych warunkach społecznych i artystycznych — mogłyby być wybrane za punkt wyjścia nowej, młodej poezji.

\* \* \*

TADEUSZ PEIPER. Pierwszy numer „Zwrotnicy” — Kraków 1922. Powstanie tzw. awangardy.

Po raz pierwszy w dziejach poezji polskiej postawiono świadomie postulat budowy wiersza. W miejsce mniej lub więcej szczęśliwej przypadkowości: celowość i kondensacja. Wykrycie analogii między życiem nowoczesnych zbiorowisk ludzkich — a „życiem” poematów. Mówi Peiper: „Organiczność, znana nam najlepiej z funkcjonowania społeczeństwa, stanie się inspiratorką konstrukcji artystycznej. Dzieło sztuki będzie uorganizowane społecznie. Dzieło sztuki będzie społeczeństwem”.

Poprzez hasło „3 M” (Miasto — Masa — Maszyna) przerzuca się Peiper wprost do konkretnych zagadnień społecznych. Literatura a socjalizm. Jasne określenie funkcji społecznej pisarza: „Artysta pracuje, aby pracującą dać wypoczynek po pracy i ochotę do dalszej pracy”. Albo humanistyczne ustalenie „tematu” dzieła literackiego: „Człowieka zawsze najbardziej interesować będzie człowiek”.

Tadeusz Peiper, to nie tylko teoretyk-nawigator. To także nowator-poeta. Jakże żywe są dziś niektóre jego utwory:

Była niegdyś od morza do morza,  
dziś być musi od dłoni do dłoni.

Albo te słowa, tak aktualne w zestawieniu z pionierstwem pracy na odzyskanych ziemiach:

Będziemy węgiel tłomaczyć na bajkę.  
Z czarnych jeśli ziemi  
wydobędziemy pałac ze złota  
bólami, które nie boją  
ciudem białej alchemii:  
wola.

Nowoczesność poezji Peipera, obok wysunięcia wspomnianego już postulatu budowy wiersza, polega na zwróceniu bacniejszej uwagi na przenośnię poetycką czyli metaforę. Czerpiąc doznania artystyczne z życia, musimy jednak twórczo je odrealnić, by nie były suchym tylko sprawozdaniem. Czyni to metafora, która jest łączeniem pojęć znaczeniowo odległych, w całości, dające nowe — żądane przez poetę pojęcia. (Przykład najprostszy: „Kolumnada kominów”. Znaczeniowo odrębne „kolumny” i „kominy” tworzą niewątpliwie poetycki obraz).

Dalej: „Poezja jest to tworzenie pięknych zdań”. Więc nie słowo, a zdanie jest podwaliną wiersza. Dopiero zdanie coś znaczy. Na tym polu najwięcej też Peiper eksperymentował. Ciekawy, ciągle jeszcze nie wyzyskany i nie przetworzony — układ „zdaniami rozkwitającego”:

Nam twój śpiew,  
nam złoty twój śpiew,  
nam czarnym złoty twój śpiew,

twój śpiew rzeźbi nam świat,  
nam świat  
świat.

Lub też „poemat rozkwitający”, którego poszczególne partie są ciągłym rozszerzaniem tego samego obrazu poetyckiego.

Inna rzecz, że eksperymentatorstwo Peipera spowodowało cały zalew sztuczności pseudo-poetyckiej. Dosłownie pojęta poezja jako „tworzenie pięknych zdań” stała się w rezultacie osiągnięciem suchym, nic wspólnego z prawdziwą liryką nie mającym. I jeżeli, przeciwstawiając się formalizmowi krakowskiej awangardy, rzuciłem w „Walce” hasło poezji rozumianej jako „tworzenie pięknego życia” — miałem właśnie na myśli pozostałości peiperowskiej manieri, której tak wiele w utworach jego epigonów.

Same zresztą „Poematy” Peipera nie są w zupełności wolne od naleciałości typu lamigłówek. Lecz decydują te utwory, które w poezji naszej napewno pozostaną. Ich wartość mogłyby kwestionować jedynie „ci, którzy serce noszą w krawacie” — jakby powiedział sam autor.

Z osamotnienia, z braku prawdziwych, samodzielnych kontynuatorów, zdawał sobie zresztą Peiper sprawę:

Włęcz żal mi  
że nie wldzę głów dla których drzwi otworzyłem  
i że nie wldzę rąk, w które światły moje złożę  
i że, i że, że z marzeń moich nie uczynię naszych —

lecz równocześnie:

Prawda, jest nas dzisiaj o tysiąc za mało,  
lecz jutro nas będzie o siawę za wiele.

„Nigdy nie wątpiłem że poglądy moje znajdą zwolenników, i że — jakkolwiek przypadłby im los — w ostatniej instancji zwyciężą”.

Z niewytłumaczalnych przyczyn dziwnie glucho dziś o Peiperze. Raz po raz nazywa się kogoś pionierem nowej poezji — trzeba się więc zastanowić, czy określenie to nie należy się przede wszystkim jemu.

Zbadajmy uważnie, świeżym spojrzeniem i świeżą myślą, książki Tadeusza Peipera. Czytajmy „Poematy”, „Nowe usta” i „Tędy”.

\* \* \*

Po linii wytyczonej poezji naszej przez Peipera zaszedł najdalej jedyny jego bezpośredni kontynuator: JULIAN PRZYBOS. (Ze kontynuacja ta nie ma w sobie nic z epigonizmem — tego dziś już wyjaśniać nie trzeba).

Mając stałe na względzie postulat budowy wiersza, ujmuje Przybós poetyckie doznania w szereg obrazów. (Wizualność — to zasadniczy element jego twórczości). Lecz doznania te w najlepszych utworach Przybosia dotyczą zawsze spraw konkretnych, sprawdzalnych. Nie darmo nazwał kiedyś sam poezję swą „wyrażaniem wyraźnego”.

Proces powstawania wiersza ujmuje Przybós w ten sposób:

Nastajam wolę:  
kiedy moment się urzeczywistnił  
Chwilko,  
płaskoprzelotnie gwizdnął!

Jeszcze marzę, a już się dziwię:  
dźwięk  
jakby szyba się stłukła  
i przez otwór wleciała do pokoju jaskółka!  
Jak dosłownie! Jak jasno!

Język poetycki autora „Miejsca na Ziemi” — to zmetaforyzowany cykl skrótów różnych stanów uczuciowych. Charakterystycznym też chwytem, jakim się Przybós często posługuje, jest odwracanie pojęć. (Np.: „Szrapnelami krążyło niebo”, czy też „Odeszły mię ulice Warszawy”). W niektórych wierszach osiąga poeta idealną wprost muzyczność przez zastosowanie wynikającej z „treści” utworu rytmiki, oraz

przez używanie delikatnych współbrzmień, najczęściej asonansów.

Ideologicznie jest Przyboś przedstawicielem tej grupy poetów, która zawsze stała po lewej stronie barykady. Szereg wierszy potwierdza jego wypowiedź: „Przez wzburzoną burzę wiódłem nadzieję, że wojna przyniesie przemianę rewolucyjną świata”. Odnosi się to szczególnie do cyklu „Równanie serca”.

Będąc z pochodzenia chłopem, zna podłoże postępowych ruchów społecznych. Służy im swą poezją:

Urodzony do pluga — z nadmiaru Ziemi zostałem poetą —

lub:

Osobno — w walce społecznej  
bierę udział.

Wojna przynosi nam najlepsze wiersze Przybosia. Wszystkie najtragiczniejsze jej momenty upamiętnił poeta w cyklu „Póki my żyjemy”. Oto smutnej pamięci wrzesień 1939:

Bezbronny, wbiły pociskami w grunt  
bięgam o karabin, jak skazaniec o łaskę —

A potem wyczekiwanie na moment wyzwolenia, gdy:

... gotowa do wybuchu mściwość  
zatrzaśnie się w zamku karabinu  
i ściska w skrót gniewu: w bagniet

Wojna utwierdza w poecie świadomość, że twórczość jest pełną odpowiedzialności funkcją społeczną:

Niesłem swoją poezję, jak żołnierz imię  
w blaszce na piersiach przeciw kulom dwóch wojen.

Obok wymienionych cyklów: „Równanie serca” i „Póki my żyjemy” — najlepsze wiersze Przybosia to liryki osobiste, zawarte dawniej w zbiorze „Wgłąb las” (obecnie rozproszone po poszczególnych działach „Miejsca na Ziemi”), oraz erotyki, stanowiące część cyklu „Do ciebie o mnie”. Nie można tego powiedzieć o reszcie utworów tego cyklu, pisanych we Francji. Oschłość i oziębłość owych wyrozumowanych wierszy nie znajduje oddźwięku w wyobraźni odbiorcy. (Z pośród nich wyróżnia się jedynie autobiograficzny utwór pt. „Żyjąc”, głębią poruszonego problemu przykuwający myśl i uczucie czytelnika).

Również — pod bezpośrednim wpływem nowatorów francuskich (często nadrealistów), napisany — cykl prozy poetyckiej pt. „Pióro z ognia”, pomimo niezaprzeczonej pięknych fragmentów nie dorównuje innym osiągnięciom Przybosia. Przeciwnie: mniej zdyscyplinowana metoda artystyczna, jaką się tu poeta posługuje, sprawia, że utwory te łatwo znajdują naśladowców, powtarzających czasem aż zbyt dosłownie chwyt pierwowzoru. W dużej mierze odnoszą się te słowa do wydanego ostatnio zbiorku Zbigniewa Bieńkowskiego pt. „Sprawa wyobraźni”. Nużąc długie, przepojone metafizyczno-abstrakcyjnymi tyradami filozoficznymi — stanowią te poematy prozą (na równi z kilkoma wierszami utrzymanymi w podobnym tonie) lekturę, która nie tylko nie „zblądzi pod strzechy”, lecz nawet dla przygotowanego intelektualnie konsumenta jest dużym rozczarowaniem. Wyjątek stanowią te nieliczne utwory, które naprawdę dotyczą ziemi. (Proza poetycka: „Bez względu”, wiersze „Warszawa” i „Do syna”).

Nie omawiałbym tutaj tak szczegółowo tego tomu, gdyby nie „słowo wstępne”, jakie wygłosił w związku z nim Julian Przyboś, m. in. i przez radio. (Można więc polemizować z tym jako z publikacją). Tylko przesadne zapatrzenie się we własną poezję może odnośnie zbioru, w którym widzi się odbicie siebie samego, podyktować określenia w rodzaju: „rewelacja”, „objawienie”. Prace zaś tych, którzy potrafili wykazywać zwięźskie próby wyjścia z tego kręgu, i zająć (choćby częściowo) dalej, nazywa się „cudzymi” i „wtórnymi”.

Słowa takie dyskwalifikują Przybosia jako krytyka. O Przybosiu-redaktorze też lepiej nie wspominać. Niech pozostanie przede wszystkim przykładem świetnego, bezwzględnie oryginalnego i prawdziwie rzetelnego twórcy.

\* \* \*

Dnia 9 września 1939 zginął w Lublinie od bomby niemieckiej JÓZEF CZECHOWICZ, jeden z naszych najwybitniejszych

poetów ostatniego dwudziestolecia. Jakikolwiek bowiem były by zdania na temat niektórych elementów jego twórczości — nie można jej odmówić cech niepospolitej wprost miary.

Wystartowawszy w roku 1927 pierwszym tomikiem „kamień”, poprzez zbiorki: „dzień jak codzień”, „ballada z tamtej strony”, „z blyskawicy”, „nic więcej”, „nuta człowiecza” — przeprowadzał Czechowicz konsekwentnie hasła nowej poezji. Był czołowym twórcą tzw. awangardy lubelskiej, która — w przeciwieństwie do awangardy krakowskiej, — realizującej przede wszystkim postulaty budowy wiersza — kładła większy nacisk na muzyczność utworu. (Obie jednak grupy łączyła wspólnota poszukiwań nowego poetyckiego wyrazu, nie mogącego się pomieścić w ogranych już układach tradycjonalistów).

„Materiału” do wierszy szuka Czechowicz w krainie swej oryginalnej wyobraźni, którą uważa za główne tworzywo poezji. Określa to tak: „Tylko wyobraźnia może być zasadą, szeregującą obrazy, wartości pojęciowe i muzyczne elementów poetyckich: słów, zdań, okresów... Wyobraźnia jest tym, czego się nauczyć nie można”.

Serce i wyobraźnia, dźwięk i obraz — oto główne ogniwa tego, co nazywamy twórczością Józefa Czechowicza. Wywoływanie wizji, nastrojów snu, tworzenie oryginalnych wątków fantastycznych, osnutych czasem na motywach mitologicznych, częściej na baśniowości ludowej. Z poezją ludową jest też Czechowicz spokrewniony poprzez czarującą melodyjność swych wierszy. Określenie: spokrewniony — nie oznacza naturalnie jakichś przyspiewów pod wtór piosenek ludowych, chodzi tylko o podkreślenie, iż rytmika wierszy Czechowicza zawiera niektóre elementy techniki owych piosenek, przetworzone świadomie przez poetę-nowatora:

Tych kiljanek — tych praczek u poloczka  
— kujawlak kujawiaczek  
siwe oczko śpij  
Bura burza od horu  
i jak bór dudni piorun  
rzucili na wodę złoty kł

Lecz to nie wszystko. Głównym nurtem poezji Czechowicza jest głębokie zamyślenie nad sensem istnienia jednostki, nad drogą, którą kroczył do wojny naród nasz i ludzkość. I choć, jeśli o sam problem chodzi, można (a nawet trzeba) nie zgadzać się z katastroficznym podejściem do spraw życia (a takie właśnie zabarwienie mają wiersze Czechowicza) — przyznać trzeba, że wizje, jakie snuł w ostatnich swych utworach poeta, urzeczywistniły się, niestety. Najgłębiej ujmuje to zażądanie w wierszu pt. „żał”, wykrywając z zadziwiająco trafnością przyczyny nieuchronnie zbliżającej się wojny:

Tak wysłuchiwać ryku głodnych ludów  
a to jest lany głos niż ludzi głodnych płacz  
Zniża się wieczór światła tego  
nozdrza wletrzą czerwony udół  
Z potopu gorącego  
zapyłamy się wzajem — ktoś zacz

Przeczuwa nawet dokładnie swą śmierć:

ja —  
bombą trafiony w stalach

Czechowicza cechuje też swoista religijność, swego rodzaju mistycyzm. Wyraża się to chociażby w wierszach: „sen sielski” czy „modlitwa żalobna”. Właściwie tym utworom zamyślenie znajdujemy też w wierszach Czechowicza o matce. Powrotem do kraju lat dziecińczych było przywoływanie wizji matki, wizji mocniejszej ponad śmierć. Bo samo życie nie dawało radości poecie. Smutek pokryty marzeniami o „niemianowanym — niejasnym” przewija się przez jego utwory. Choć nie lubi o tym wprost mówić, to jednak zdradza się czasem, że:

pod kąciwym twardym  
na tej ziemi czarnej  
że — och jak że

Przejdźmy wreszcie do wierszy, w których Czechowicz szczególnie celował: do jego liryków krajobrazowych. Rodzinne miasto poety — Lublin i ziemia lubelska — znalazły w tych arcydziełkach piękne odbicie:

Na wieży furgalaj blaszany kogucik  
na drugiej zegar nucił  
Mur fal i chmur popękał  
w złote okienka  
gwiazdy — lampy

Lublin nad łąką przysiadł  
sam był  
i cisza

Albo też:

monotonnie koła głowę unosi;  
grzywa splywa raz po raz rytmem  
koła koła  
ziola

terkocze senne półzycia  
drożyną leśną łąkowa  
dołem dołem  
połem

Dużym niebezpieczeństwem, jakie tkwi w twórczości Józefa Czechowicza, jest pozorna łatwość naśladowania jego chwytów. Powielony też został przez epigonów, przez całe rzesze młodych, czy to przed wojną, czy teraz. (Przykładem choćby — wydana niedawno antologia młodych poetów lubelskich). Również niebezpieczną jest owa psychoza pesymizmu, jaka płynie z jego wierszy. Czechowicza rozumiemy, umiejscowimy go w czasie i warunkach, w jakich żył — lecz objawy słabości, udzielającej się z jego wierszy młodym poetom, trzeba by zwalczać bez reszty.

\* \* \*

Tyle ostatnio mówiło się i pisało o tzw. katastrofizmie pewnego odłamu poetów międzywojennego dwudziestolecia, tyle razy wymieniało się przy tej okazji nazwisko najwybitniejszego z pośród nich CZESŁAWA MIŁOSZA — schyłkowożyjąc więc tylko pokrótce atmosferę owych czasów.

Zdając sobie sprawę (— często tylko intuicyjnie —) z faktu, iż pierwsza wojna nie rozwiązała wielu problemów międzynarodowych — przepowiadają katastrofizm nadejście nowego starcia sprzecznych interesów i ideologii. Pod wpływem zaś wzmożonej w owych latach fali religijnych mistycyzmów, dopatrywali się w nadchodzącej burzy dziejowej zapowiedziane, apokaliptycznego końca świata. Postawa ich była zazwyczaj bierna i pełna niepewności:

...nie wiesz, gdzie jest cel i brzeg,  
ty widzisz tylko, że ogień światła pali.

Tak pisał Czesław Miłosz w „Trzech zimach”. Albo taka zupełna rezygnacja:

Pogodzeni jesteśmy po długim skłóceniu,  
wiedząc, że z szczęścia ludzi kamień na kamieniu  
nie zostanie.

Lub:

...ślawę nam znaczone tworzyć bezimienną,  
jak okrzyk pożegnany odchodzących — w ciemność.

Przejdźmy teraz do strony formalnej poezji Miłosza. Ocieając się w pierwszej (wileńsko-„żagarowej”) fazie swej twórczości o awangardę — przechodzi wkrótce do swoistego klasycyzmu, zgodnego zresztą z atmosferą pisanych podówczas wierszy. Klasycyzm ten przeradzał się często w samodzielny, odkrywczy sposób tworzenia i łączenia obrazów poetyckich:

Ziemia odpływa od brzegu, na którym stoję,  
i coraz dalej świecą jej trawy i drzewa.  
Pączki kasztanów, światła lekkiej brzozy  
już nie zobaczę was.  
Z ludźmi umęczonymi oddalacie się,  
ze słońcem kołysanym jak flaga biegniecie w stronę nocy —

Tyle mniej więcej pisałem kiedyś o Miłoszu w „Walce”. O jego poezji, urzekającej (nie zawsze szczęśliwie) młodych, (przykładem: pewna grupa poetów warszawskich w czasie ostatniej wojny) — i o jego katastrofizmie. Dziś zaś wyrażam zadowolenie, że mogę sądzić swój uzupełnić świeżymi wrażeniami z lektury drukowanych ostatnio po czasopiśmie wierszy tego poety. Wierszy z okresu okupacji oraz pisanych obecnie. Postawa Miłosza uległa przez lata wojny zasadniczej zmianie. Katastrofizm ustępuje miejsca zamyśleniu nad sprawami człowieka na tle przemian dziejowych. Zamiast eschatologicznych wizji — wola przetrwania. Oto fragment wiersza pt. „Ranek”:

Tak, tak poeta. Kto w tym kraju został,  
Kto za pomysłność nie płacił łaską,  
Najcięższym dniom niech teraz umie sprostać.  
Jeżeli zostać chciał — to chyba po to.

(1942)

Z niecierpliwością i zainteresowaniem czekamy na obejmujący wiersze ostatnich lat tom Czesława Miłosza.

\* \* \*

Jeśli chodzi o zrewolucjonizowanie formy poetyckiej, to uczynili to radykalnie poeci tzw. awangardy. Przede wszystkim zaś ci, których dotychczas omawialiśmy. Nie można tego powiedzieć o poetach warszawskiej grupy „Skamandra”. Pewno, że niektórzy z nich, jak np. Tu wim czy Wierzyński pozostaną w naszej literaturze jako pisarze o osiągnięciach wysokiej klasy — lecz brak ideologii artystyczno-życiowej, frazeologia i ograne często chwytły poetyckie, stawiają ich w rzędzie twórców, których dorobek nie może być dla nowej poezji pobudzającym do pracy przykładem.

Wyjątek stanowi jedynie WŁADYSŁAW BRONIEWSKI (luźniej zresztą związany z tą grupą, lecz posługujący się podobną formą poetycką). Powodem trwałości i świeżości jego utworów jest niezaprzeczalnie ideologia społeczna, którą poeta reprezentuje. Ideologia najbardziej postępową, wszechludzka: socjalizm.

Przez dwadzieścia już lat realizowany konsekwentnie w życiu i poezji, światopogląd ten zdyscyplinował wiersze Broniewskiego, upodabniając je do komunikatów z placu walki klasowej czy też z pola bitwy. Że jednak nie są te utwory pozbawionymi artyzmu agitkami — niech świadczą chociażby wezwania do „Poezji”:

Jest gdzieś radość ludzka, zwyczajna,  
jest gdzieś jasne i piękne życie. —  
Powszedniego chleba słów daj nam  
i stań przy nas i rozkaż — bić się.

W szeregu wierszy zabarwionych akcentami epickimi, utrwala Broniewski ważniejsze momenty z dziejów międzynarodowego proletariatu. Najcelniejsze z tych utworów to: „Elegia o śmierci Ludwika Waryńskiego” — męczeńskiej postaci polskiego socjalizmu, poemat o Komunie paryskiej pt. „Rok 1871”, czy też świetny wiersz na śmierć Majakowskiego pt. „14 kwietnia”. Oto ostatnia jego strofa:

Niech nam słowo jak rad  
tkanki serca przepali.  
Chwała temu co padł.  
My idźmy dalej.

Działalność poetycka Broniewskiego wypadła głównie w czasie, w którym reprezentowana przez niego ideologia hartowała się w nierównych zmaganiach z wrogami postępu społecznego. Zbliżająca się druga wojna światowa, chwilowe zwycięstwa faszyzmu w różnych krajach — wszystko to nastrojało poetę poważnie, lecz nie rzucało go w wir katastrofizmu. Bo chociaż wiedział, że

Groza narasta.  
Gulwianie kroczy historia.  
Splotą miasta.  
Runą laboratoria —

to jednak mówił:

Walka za nami. Walka przed nami —

! jako jedyną odpowiedź, rzucał słowa pogardy:

W pierś niech biją młotem — nie pęknie.  
Zatnij usta, choć w ustach krew...  
Jeszcze będzie jaśnie i pięknie,  
będzie radość i będzie śpiew.

Broniewski, obok akcentów bojowych, posiada w poezji swej szereg niezapomnianych momentów liryki osobistej. Oto jego słowa o ziemi ojczystej:

Mnie ta ziemia od innych różna,  
ani chęć, ani umiem ślad odejść,  
tutaj! Wisła, wiatrami Mazowsza  
przeszumiało mi dzieciństwo i młodość.

W moim oknie pole i topole  
i ja wiem, że to właśnie — Polska...

Za taką Polskę walczył w czasie pierwszej wojny światowej. Lecz stwierdza z goryczą:

Nie głaskało mnie życie po głowie,  
nie doszedłem tam, dokąd szliśmy...

Międzywojenna niepodległość nie dawała wolności wszystkim. Ale, gdy niebezpieczeństwo niemieckie stało się w 1939 roku faktem, tak formuluje Broniewski stanowisko ludzi pracy:

Są w ojczyźnie rachunki krzywd,  
obca dłoń ich też nie przekreślił,  
ale krwi nie odmówi nikt:  
wyszczyżmy ją z piersi i pieśni.  
Coż, że nieraz smakował gorzko  
na tej ziemi wyciężony chleb!  
Za tę dłoń wyciągniętą nad Polską —  
kula w leń!

Takie pojęcie walki o wolność i sprawiedliwość wyklucza uciskanie tych, którzy w jednych szeregach z nami walczyli, cierpieli i ginęli. Mam na myśli, aktualną dziś przez pewne smutne zajścia, tzw. kwestię żydowską. Nieraz w czasie swej działalności poetyckiej wypowiedział się Broniewski na ten temat, lecz najmocniej zaakcentował swe poglądy w wierszu pt. „Żydom polskim”, napisanym w czasie ostatniej wojny:

Oto, co trzeba wyręć jak w glazie w polskiej pamięci:  
wspólny nam dom zburzono i krew przelana nas brata,  
łączy nas mur egzekucyj, łączy nas Dachau, Oświęcim,  
każdy grób bezimienny i każda więzienna krata.

Wspólne zaświeci nam słońce ponad zburzoną Warszawą,  
gdy zakończymy zwycięstwem krwawy nasz trud wieloletni:  
każdy człowiek otrzyma wolność, kęs chleba i prawo,  
i jedna powstanie rasa, najwyższa: ludzie szlachetni.

Światopogląd Broniewskiego, to światopogląd najbardziej ludzki. Forma zaś jego wierszy, doprowadzona do największej prostoty, ów styl człowieka pracy i walki — może być jeszcze i dziś przykładem dla każdego kształtującego się poety. Przykładem zespolenia się treści i formy, przykładem owego monolitu, jaki charakteryzuje wiele utworów najwybitniejszych przedstawicieli awangardy. Bo w pewnym momencie zaciera się podział na grupy czy odcienie. Pozostaje tylko poezja. Niepodzielna i prawdziwa.

W Londynie ukazał się ostatnio tom wierszy Władysława Broniewskiego pt. „Bagnet na broń”, po „Trzech solwach”, „Trosce i pieśni” oraz „Krzyku ostatecznym” — najlepszych publikacjach tego pisarza. Czekamy na ten zbiór. Czekamy też na powrót z ziemi obcej do Polski proletariackiego poety-żołnierza.

\* \* \*

Powyższe omówienie twórczości kilku najwybitniejszych poetów polskich, (szczególnie w tych częściach artykułu, gdzie podkreśla się ich pozytywne osiągnięcia) — nie jest oczywiście hasłem do epigonińskiego eksploataowania ich dorobku. Byłoby to takim nonsensem, jak i stwierdzenie przeciwne, że osiągnięcia tych poetów należy przekreślić. Chcemy z doświadczeń i wyników pracy poprzedników czerpać przykład w naszej samodzielnej wędrówce ku własnemu wy-

razowi. Tego nie wstydził się nawet Peiper — tak czuły na punkcie swej oryginalności nowator, gdy pisał, że trzeba zwracać uwagę na przeszłość, tę — „która w swoim czasie umiała być teraźniejszością i od której uczyć się możemy, jak robić naszą teraźniejszość”. (Uzupełnić by można jeszcze: i przyszłość). Że zaś do poprzedników naszych nie odnosimy się również w sposób bezkrytyczny i bałwochwalczy — świadczą o tym niektóre fragmenty tego artykułu, czy też inne nasze wypowiedzi.

Nie twierdzimy jednak, że osiągnięcia nasze są już rewelacją. Będą nią jutrzejsze osiągnięcia. Dziś jesteśmy w marszu wraz z całą literaturą, która przytłoczona najstraszniejszą w dziejach świata wojną i jej skutkami, do dziś jeszcze rewelacji nie dała.

I wiemy jeszcze, że przychodzi taki moment, kiedy przestaje się czerpać doświadczenia z tzw. kuchni literackiej, a bierze się je bezpośrednio i niepodzielnie z życia. A nowa (i powiedzmy odważnie: trudna) rzeczywistość doświadczeń tych nie poskąpi. Dlatego, zmagając się ze słabościami naszego „dzisiaj” — o „jutro” jesteśmy spokojni.

Do poszukiwania prawdy artystycznej w ścisłym związku z poszukiwaniem prawdy życiowej” nawoływano jeszcze przed wojną. (Stanisław Czernik, lub nieco inaczej — Ignacy Fik). Dziś kruszy o to kopie Jastrun — własną twórczością udowadniając, że można postawę egotyczną zamienić na inną, szerszą i wszechstronniejszą. Że zaś uzgodnienie prawdy artystycznej z prawdą życiową oznacza pozytywnie usłuszkowanie się do postępowych prądów epolecznych — o tym chyba mówić nie trzeba.

A prawdziwa twórczość ze społeczeństwa i dla społeczeństwa, różni się napewno od dorywczej roboty agitacyjnej. Niech więc zwolennicy „poezji czystej” nie drżą przesadnie o los poezji wogóle. A że poezja ta odrzuci wiele podejrzanie pięknych dekoracyj na rzecz życia — o to się martwić nie będziemy.

(Mówię cały czas o poezji. Może dlatego, że większość z nas — to właśnie poeci, łatwiej więc mówić o sprawach, które lepiej rozumiemy i na których się lepiej znamy. I jeszcze może ten powód: przed poezją stoi napewno więcej dróg do wyboru i więcej zagadnień do rozstrzygnięcia niż np. przed prozą. Poezja, choćby przez różnorodność sposobów docierania do odbiorcy, jest funkcją bardziej społeczną. Mam na myśli kwestię recytacji. Tylko teatr znajduje się w podobnym położeniu).

Tyle w artykule dzisiejszym. Jeśli jest napisany zbyt „popularnie” — to chyba dlatego, że chce (i powinien) mieć więcej czytelników niż niezrozumiałe dla nikogo polemiczne pogwarki na osi Kott - Sandauer i Sandauer - Kott w „Odrodzeniu”. Mieć więcej czytelników — i więcej wyjaśnić i poinformować. Po sześciu latach kulturalnej izolacji funkcja taka jest napewno pożyteczna — szczególnie w stosunku do młodych. O tym powinni pamiętać ci z pośród starszych, którzy chcą nas stale pouczać, a nauczyć niczego nie potrafią.

Adam Włodek

JERZY POGORZELSKI

## Autobiografia

Wicher pędził nas — rozpędzał coraz dalej,  
czas przebiegał nad nami rozpaloną burzą.  
To nie w słów metaforę zamknięty szcęk stali:  
— górą przeszły oddziały, zostawiając nas w kurzu.

Lata tamte nad książką, wtedy was mi zabrakło!  
Pozostaliśmy sami na wybrzeżu dalekim.  
Gdyby chociaż na ziemi nieznanej sztandar zatknąć!  
gdyby spłynąć tobą do ujścia samego, błędna rzekol

Dni dłużyły się męką, przebiegały gwałtownie —  
od ich krwawych tętentów serca biły rozpacz.

Gdyby chociaż pozostał mi na wieki ich pomnik,  
gdziebyś choćby — po latach — mógł mą młodość zobaczyć!

A potem były czyny ostre i namętne,  
młode serca płonęły ich czerwienią na wietrze.  
I płonęliśmy, dumni, i zrywali snów pętą,  
i dniem prawdziwym bez snu szli ku czynom wiecznym.

Tak wzbierało — nim w chwale przeciągnęło — spełnienie.  
Styczeń mrozem rozpoczął rok nienasycony.  
Za nami szczęki solw i skrzywienie szubienic.  
Przed nami — wiosna zielona: maj czerwony.



# Powstanie

Warszawa... Powstanie... Przedmiot dyskusji, sporów, wyjaśnień i odbronzowień. Wszyscy zgadzają się, że zryw był spontaniczny, bohaterski. Wszyscy wiedzą, że powstanie rozpatrywane pod kątem widzenia polityki i strategii było straszliwą omyłką. A jednak, mimo, iż sprawa jest wyjaśniona — inaczej niż każdy inny musi mówić o niej Warszawianin.

Nie próbuję objąć całokształtu zagadnienia, nie będę rozpisywać się z podziwem o męczeństwie ludności, ani gromić dowództwa. To robią za mnie inni, lepiej zorientowani. Spróbuję tylko cofnąć się o rok wstecz i objąć pamięcią dwa niepojęte miesiące walki.

Pisać o tym jeszcze trudno. Są w życiu wydarzenia tej miary, że trzeba je długo w sobie trawić, ażeby dotrzeć do sedna przeżycia. Rok — to za mało, by można było ująć w syntezę tysiące faktów składających się na jeden wyraz: *Powstanie*.

\* \* \*

*1 sierpień.* Godzina czwarta popołudniu. Z okolic Placu Napoleona dochodzi odgłos strzałów. Ludzie nie zwracają na to uwagi. Warszawa żyła się z ciągłą strzelaniną. Trzeba tylko starannie omijać okolicę, by nie wpaść w środek potyczki. Za parę minut wszystko się uspokoi.

Ale strzały nie milkną. Stają się coraz głośniejsze. Koło piątej detonacje zaczynają dochodzić i z Dworca Głównego. Teraz ludzie uciekają. Kanonada przybiera na sile z minuty na minutę i wreszcie pada słowo: Powstanie!

W bramie po przeciwległej stronie ulicy migają białoczerwone opaski, parę orzełków na czapkach, karabiny. Kamieniec ogarnia szal. Rzucamy się sobie w objęcia, krzyczymy, „Nasi, nasi, patrzcie!”

Łapię ze stołu paczkę papierosów, biegnę przez jezdnię do pierwszego polskiego żołnierza, płaczę. Żołnierzy coraz więcej. Obok dziewczęta z oznakami P. C. K. na ramieniu. Twarze szczęśliwe.

Powstanie! Wymarzone przez długich pięć lat! To nic, że świszczą kule i rozrywają się granaty.

O szóstej Niemcy ogłaszają przez megafony stan wyjątkowy.

*3 sierpień.* Na mieście afisze: „Polacy! po pięciu latach nowoli stanęliśmy do walki z germańskim wrogiem, w imię wolności, równości, braterstwa”. Polski afisz, polskie chorągwie, na ulicach polskie głośnieki nadają polskie wiadomości, pierwsza polska gazeta... Zachylamy się polskością. Jesteśmy na skrawku ojczyzny, chociaż za rogiem stoi niemiecki czołg i wali.

Strzelaj głupi szwabie, nie ci nie pomoże. Za trzy dni będziesz uciekał jak niepyszny. Na lewym brzegu Wisły stoi Polskie Wojsko i Armia Czerwona. Śmieją się z ciebie. I my się śmiejemy, bo chociaż zaczynasz już palić miasto — to przecież my wywalczymy sobie naszą wolność, a ty co, a ciebie co czeka?

*6 sierpień.* Dom przylegający do naszej kamienicy pali się. Wszyscy na dach! Trzeba bronić się przed pożarem. Wiadrami, miskami, garnkami — leje się na płomień woda. Od parteru do dachu na schodach ludzie. Sprawnie, z rąk do rąk idą wiadra z wodą i piaskiem. Noc jasna od ognia. W mieszkaniu na drugim piętrze jęczy rodząca kobieta. Nad głowami niemieckie samoloty.

Pierwszy raz powstanie jest straszne.

*10 sierpień.* Chodzę na Warecką po gazety i roznoszę je po swoim rejonie. Pierwszą wędrownkę odbywałam z sercem na ramieniu. Potem przyzwyczaiłam się. Do strachu można się przyzwyczaić. Kiedy „krowa” zaryczy, lub zawarczy „Stuka” — trzeba skryć się w bramie i czekać. To wszystko.

*15 sierpień.* Już dwa tygodnie bijemy się. Ze zburzonych domów wędrownki ludów. Dzieci, kobiety, starcy... W schronach zaduch. Wody coraz mniej. Przy nielicznych zbiornikach kolejki. Ale chłopcy śpiewają, cywile dowcipkują i śmieją się. Warszawiaków zgnębić nie łatwo.

*18 sierpień.* Wielkie, piękne zwycięstwo. Zdobyto gmach P.A.S.T.-y na Zielnej. Pęcznijemy z dumy. Nasi chłopcy... kochani! W kinie na Złotej można ich oglądać. Jak biją się jak zwyciężają.

*23 sierpień.* Zwycięski pochód na Francję trwa. Miasto za miastem, wieś za wsią pada. Niemcy cofają się na całej linii. Na Starym Mieście sytuacja ciężka.

*30 sierpień.* Stare Miasto padło. I znów wędrownka. Zdrowi i chorzy. Na noszach ranni bez rąk i nóg. Wiadomości ze świata nadzwyczajne.

*Za Wisłą front stoi.*

*1 września.* Przyszła po mnie Mama ze szpitala na Jaworzynskiej. Zabiera mnie ze sobą do pracy. Nie wdziałyśmy się przez miesiąc. Płacemy. Ale Mama silna, pogodna jak zawsze.

Wędrownka przez Aleje. Głowę pochylić i szybko. Tylko po dwie osoby na raz. Niżej, niżej, żeby za barykadą nie było widać. Aleje są niemieckie.

Potykam się. Trup jasnej dziewczyny. Trzeba przeskoczyć. Mamo, jesteś już? Westchnienie ulgi.

*4 września.* Na sali mam piętnastu chłopców. Szpital jest cichy, mimo jęków i huków. Praca, praca — dzień i noc. To dobrze, że praca. Myśleć nie trzeba.

*6 września.* Z barykady przynieśli żołnierza. Ranny w głowę. Doktor zaszywa ranę bez narkozy. Chłopiec siedzi z zaciśniętymi zębami i nie wydaje jęku. Ręce wpija w krzesło. Można powiedzieć tylko jedno słowo: Bohater!

*13 września.* Praga zajęta przez naszych! Słyszycie?! Nadzwyczajny komunikat: Praga zajęta!

*15 września.* „Stukasy” wyniosły się. Na niebie szarobrunne samoloty. Swoje. Nazywamy je: kiełkót.. Kłękocą jak bójczany. Ten dźwięk, to balsam dla ucha. W nocy zrzuły broni i żywności. Nadzieja!

*18 września.* Nad Warszawą amerykańskie „latające fortece”. Suną wolno i majestatycznie... Z każdej wylatują dziesiątki różnokolorowych spadochronów. Przerażeni Niemcy, myśląc, że to desant, strzelają. Ale szybko dostrzegają omyłkę. To zrzuły. Niestety wiatr kieruje je właśnie na stronę niemiecką.

(Myśleliśmy wtedy, że Amerykanie będą odwiedzać nas już co dzień. Niestety, był to tylko jednorazowy pokaz).

*22 września.* Dziś umarł Andrzej. To pacjent na mojej sali. Tak bardzo chciał żyć! On i tysiące innych, których już nie ma.

*25 września.* Przy modlitwach wieczornych ksiądz powtarza co dzień uparcie: „Boże, uchroni od śmierci mieszkańców ulicy Jaworzynskiej...” Czy inne ulice są nie ważne?

*28 września.* Wiadomości w gazetach nijakie. Kiedy???

*30 września.* Nad Warszawą dymy. Ciągłe coś pali się. Warszawo! Ciebie już właściwie nie ma! To takie straszne, że uwierzyć trudno. Boli i łyż z oczu wyciska. Tyle śmierci! Ludzie umierają i domy umierają...

*2 października.* Kapitulacja. To słowo jest rozpaczliwe. Wieje od niego głód, zimno i poniewierka obozów. Wieje od niego bezsens przelanej krwi i zdruzgotanego miasta. Na naszym malutkim skrawku ojczyzny pauoszy się znów niemiecki hełm.

\* \* \*

...było straszne, ale wielkie. Ludzie wyrastali ponad siebie. Przez dwa miesiące umieli z hartem i odwagą znosić myśl o śmierci, umieli walczyć i ginąć — jak tylko Polacy potrafili.

Dlatego — chociaż sądzić też trzeba — ja przede wszystkim: wspominam.

# Janka Muzykant

— Pamięci poległego —

1

Patrzysz pochmurnie wskroś splakanych szyb.  
Ten deszcz nie w porę — krzyżuje ci plany.  
Palcami dudnisz o okienne ramy.  
Puste przestrzenie w oczach twych.

Widzę jak moknie szyba w kroplach stu,  
a każda z nich — aż ciężka od zmilczanych myśli —  
pęcznieje w wilgnym drzeniu, wahajaco wisi,  
za chwilę smugą spłynie w dół.

Odwracam głowę  
i śmiesznie krzyczę w twe zdumione oczy.  
w zakłopotaną linię ust —  
że wiem, że pójdziesz.

2

Dzień stygnie cicho.  
Wieczór będzie chłodny.  
Wiatr gasi nasze czoła.  
A głos się gubi, głos się rwie —  
za trudno, żeby wolać.  
Tchem pytam:

Wrócisz?... Jutro?...

Czas pożegnania pisze świeca  
sznurkiem woskowych łez.  
Twój wielki, aż pod sufit cień  
ręką unosi gest  
i — salutuje:

Wróć. JUTRO.

3

Nieśmiała, młoda, lepka zieleń liści.  
Chciałabym zrywać, deptać, ranić.  
Za jej bezwstyd — że pulsuje słońcem,  
że nie wie co to jest czekanie.

Mam w rękach siłę nienawiści,  
mam gniew zwężony w krlani.  
Za jej życie — krótkie, musujące,  
za jej bez troskie przemijanie.

Ułożę stos olbrzymi z liści,  
podpalę jego cztery końce.  
Gdy obce niebo dymem zmączę —  
może się prośba moja ziści.

Będę się modlić o twój powrót  
do wszystkich bogów świata.

4

Na grób, który może być wszędzie,  
pękł nie ściętych kwiatów.

Nie wolno deptać ziemi.  
Grzech.

Już tylko smutkiem szukam,  
zdawna znajomym światu:  
— gdzie?

5

Zagmatwana ścieżyna w konary i chwasty  
Biorę oddechem leśny zapach cienia.  
W dobrej pustce od nowa męcząco  
lęk i tamte wspomnienia.

Coraz bliżej polana.  
Ktoś melodię napłina w długą srebrną nić  
i wysnuta piosenka ze skrzypiec  
nieznajoma a znajoma brzmi.

Słońce pierwsze od wielu miesięcy  
ciepło jasno na rękach się topi.  
Niebem echo szuka nowych granic,  
lasem kroki.

Tylko jeden ze wszystkich, za wszystkich  
wraca — Stamtąd — bogatszy o śmierć.  
Idzie tutaj Janko Muzykant.  
Kroki słysząc i pieśń.

TADEUSZ KUBIAK

## Żołnierz nieznany

Tak mi obco w waszym chmurnym mieście,  
tak nieswojo w pałacycznym grobie.  
Ach, zostawcie mnie samemu sobie,  
jeśli laska — zaś — matce odnieście

Ona pozna strzępy mego ciała,  
pozna płową, konopną czuprynę.  
Ona jedna nad zabitym synem  
będzie szczerze, gorąco płakała.

Zatroskana zbierze kość do kości,  
plącząc — z krwi mnie obmyje i z błota.  
Nie chcę smętny, nieznany sierota  
dłużej tkwić w bezimiennej wielkości.

Płytę, która mi piersi przygnata,  
w proch roznieście, koledzy, na butach.  
Grób mój, jak niezdożyta reduta,  
razi mściwie w samo serce świata.

Nie chcę zostać nieznany żołnierzem,  
rozszarpanym przez burzę pocisków —  
Chcę mieć imię swoje i nazwisko,  
obok ojca mojego chcę leżeć.

Ach, zanieście mnie do mojej matki —  
bo tak — cóż mi z szlandarów i hymnów?  
Niech mnie wgrzebie brat w ziemię rodzinną  
i pożegna chłopskim zdjęciem czapki.

## Perspektywy

Nad nami ptak wolności ulata,  
Blask w oczy wróży nam ranek<sup>ski</sup>.

Objawiła się Polsko konturem hełmów — żelaznych profilów majonych w rozmaryn, grą silników słońca.  
Na cierniową głowę połóżysz się lilią. Łaknącym ustom podasz radosne jabłka miłości dziecięcej. Zięblego ogrzejesz  
jaskrami wiosny, umęczonego pracownika namażesz oliwą pracy zwycięskiej: płasającym młodzieńczo triumfem.

Polskie drogi naprzestrzał otwarte perspektywą jadącej radości. Nadchodzącemu — przynagleniem zakwitają w skro-  
niach świetliste zapachem akacje.

Malowany chłopak — nieśmiałością zuchwały — rozdaje wokół uśmiechy sprawiedliwej wiosny. Dźwigam w oczach  
Twą Wieść.

Patrzcie — otom realista: na błoniach jawą się pasą uziemnione samoloty mych marzeń.

ROMAN ARTYMOWSKI

## Jutro

Więc — już? —  
(nie mogę zebrać słów  
co rozbiegają mi się w kwiatach)

Jutro  
komunikat  
nie chluśnie widmem krwi — —  
Jutro nie będzie w wierszach  
automatów  
oni na drutach  
nie przysiędą w listach Izy.  
Nagle  
nie skurczy serca afisz,  
od gheft nie zbiegnie salwą  
krzyk.

Jutro  
gwiazd się będę pytał  
dlaczego w miedzach granat kwitł.  
Jutro  
— to słowo tak ogromne,  
(szliśmy ku niemu przez sześć lat),  
Jutro  
pójdziemy świętą drogą —  
(czeremcha biała mówi: POKÓJ)  
pójdziemy ciszą —

rośnie człowiek.

WŁADYSŁAW MACHEJEK

## Przy Tobie

Nie zawsze już się odbija  
śmiech mój ustami słonecznych namiotów.  
Już hełm, jak siano na głowie zwijam  
i ręce układam gołębi lotom.

Jeszcze nie rozumiem  
innych liści, niż las niesie.  
I myślę, kładąc głowę w tłumie:  
to w bunkry bomba pod przyciesie.

Więc nie dziwne, że jest zimny jak tundra  
przy tobie mała, przy tobie mała.  
Zdejmij mi z ciała leśny mundur  
i rękę odejmij, jak pałasz.

Przy tobie mi się wolność nieci  
i w polne pędy zielono odrasta.  
Kawaleria czy wiatr wśród kwietnej zamieci  
kładzie w me ręce gwiazdy, lwy i miasta?

Czy nacichła tak na wolność,  
że jabłonek gniazda w świat się dłuży,  
i stroję w jedność dookoła  
wiatr, miłość i pogórze?

Postawiłem leśnym bogom  
butane góry i czoło proste.  
Wolność wraca, choć jeszcze nie pogiął  
dziczy w sercu, okrutnej jak kostur.

Czerwiec 1945

ZOFIA KARAS

## Morze

Biała mewą  
siadła na brzegu —  
na śalach umierają  
dawne, płaczące dni.  
Szartą płachtą, daleko,  
rozłożyło się morze —  
zasłuchało się w świt —  
Nad wodą —  
schnące sieci  
huskane z jędrnych ryb.  
Mrok tonie —  
W cichym wschodzie  
bursztyny lśnią na płaskach  
kroplami skrzepłej krwi —  
Na wydmach  
wśród strzaskanych sosen  
wstaje dzień —

Morze —  
powracasz znów  
z pluskiem kaszubskich wiosel — —

# Dziecko

Podczas rewizji mały Kazek znalazł się blisko okna, wciśnięty pomiędzy doniczki, które zajmowały cały kąt pokoju. Za oknem świeże bzy napęczniałe rosą, pachniały na całą ulicę; i kolor poranku, bardzo jeszcze wczesnego, był także bzo- wy, niebiesko-różowy, z przymglonym, pastelowym odcieniem. „Górka” naprzeciwko domu jaskrawiła się zielono młodym zbożem. I w końcu Kazek zapatrzony w okno, zapomniał trochę o strachu, o rewizji o gestapo. Myślał o jędrnie wilgotnej trawie i o żabach, które przewijają się między nogami chłodnym, łaskotliwym skokiem.

Trudno było powiedzieć, dlaczego w pewnej chwili Kazek odwrócił głowę; w pokoju istotnie coś się stało. Siostra dygotała, zupełnie jakby nią trzęsły dreszcze; ale gdy gestapowcy wyciągnęli z za złamanej nogi szafy plik papierów, przestała się trząść, zeszytyniała, zatoczyła się i oparła bez ruchu o ścianę.

W swym kącie Kazek odczuł, jak wszystkim w pokoju zmieniły się oddechy. Energiczna twarz ojca skamieniała w wyrazie bezradności. Czy jeszcze myślały: „można będzie jakoś wybrnąć, czy to już koniec?” Po raz pierwszy w życiu Kazek zwątpił w ojca; i to obudziło w nim nagle rozpaczliwy strach.

Spojrzał na matkę; miała zacisnięte usta i wysoko uniesioną głowę. Ale Kazek znał prawdziwą twarz swojej matki i ta jej dzielność jeszcze powiększyła jego strach.

Wreszcie wyprowadzili wszystkich, razem ze starszym bratem, który był w drugim pokoju, i załadowali do ciężarówki. Siostra była nadal spokojna, tym jakimś najstraszniejszym, trupim spokojem.

Auto ruszyło; Kazek widział twarze sąsiadów majaczące z za firanek okien. Auto jechało w rannym słońcu, w świeżym powietrzu, w codziennym ruchu ulicznym. Gdy Kazek nie patrzył na rodziców, trochę się uspokajał. Niebo było takie przejrzyste i mocne w kolorze, trawa taka świeża, słońce takie ciepłe; Niemcy mieli twarze złe, ale obojętne. Może jakoś to będzie i wszyscy wrócą do domu? Aż otwarta brama więzienia, tak jak przed tym niezwykła twarz ojca, obudziła w nim znowu rozpaczliwy strach.

Kazia puścili wieczorem tego samego dnia, po strasznym biciu, które nie osiągnęło żadnego skutku, bo chłopak naprawdę nic nie wiedział. Jego uwolnienie odbyło się w ten sposób, że Niemiec odprowadził go do bramy i cofnął się bez słowa. Kazio został sam, oczekując co będzie dalej; ze strachu przestał nawet odczuwać ból po biciu. Przed więzieniem nie widziało się żadnego auta, żadnej karetki; żołnierz stał na warcie z bezmyślną karnością, patrząc na dach przeciwnego domu.

Kazek zbliżył się do ulicy. Zachód barwił ceglasto domy i przgórza. Po zaduchu więziennej celi zapach trawy i liści przenikał całe ciało aż do zawrotu głowy.

Chłopiec zaczął posuwać się naprzód, krok za krokiem, aż stanął na progu bramy; wartownik spojrzał obojętnie i odwrócił się. Kazek oczekiwał strzałów, ale poszedł naprzód i wyszedł na ulicę; tutaj puścił się pędem.

Nikt go nie gonił i nareszcie zrozumiał, że jest wolny. Biegł bez tchu przez zaułki, nie czując zmęczenia. Prędkiej do domu, do mamy, która napewno już także jest wolna i czeka na niego i niepokoi się! Kazek potrzebuje teraz matki więcej niż chleba i wody; musi przytulić się do niej, schować się cały w jej ramiona i tak, żeby nikt nie wiedział, ani się nigdy nie dowiedział, wybuchnąc najszczerzym, dziecięcym szlochem.

Gdy się znalazł na swojej ulicy, słońce już zaszło; domki i ogrody stały cicho w pogodnym zmierzchu. W ciszy rozległy się ostro i niecierpliwie uderzenia dziecięcej pięści o drzwi; drzwi się nie otworzyły, dom pozostał głuchy i niemy. Uderzenia rozległy się znowu, teraz nieprzerwane, uparte, naiwne rozpaczliwe. Dom pozostał głuchy i niemy. Powoli zmierzch zamieniał się w siność.

Kazek zsunął się na schodki, skulił na stopniu i rozplakał w głos. Przybiegły sąsiadki, jak głodne kury na ziarno. Jedna z nich, gdacząc litościwie a bezustanku, zaciągnęła go do siebie, wycalowała po głowie, posadziła w ciepłym miejscu, w kuchni i podała talerz barszczu z ziemniakami. Taki był głodny, że mechanicznie zabrał się do jedzenia; ale sąsiedzi

zaczęli go zanudzać pytaniami, więc odepchnął talerz, wciśnął się w kąt, oniemiał i nasrozył jak zwierzę.

Ta jego dzikość przstraszyła sąsiadów, jak najprędzej za- telegrafowali po wujka do Krakowa. Przez te kilka dni, aż do przyjazdu krewnych, Kazek, choć się bardzo bał, spędzał długie godziny pod murami więzienia. Przecież sąsiedzi za- pewniali, że matka i wszyscy wyjdą prędko na wolność! Tymczasem krewni przyjechali i zabrali go do Krakowa. Kazek nie zapytał o nic; wystarczyło mu spojrzenie wuja. Nikt nie widział jego łez; przestał mówić, przestał się interesować, wyjazd przyjął bez słowa. Tyko rysy jego dziecięcej twarzy nabrały jakiegoś przykro dojrzałego wyrazu.

Także i w Krakowie nie pytał o nic, ale tutaj ciotki same gadały; milczenie Kazia, które wzięły za spokój, wprowadziło je w błąd. W ten sposób Kazek dowiedział się, że ojciec i brat są rozstrzelani — matka i siostra wywiezione do obozu.

I znowu nikt nie wiedział, jak straszne i jak częste i jak ukrywane były jego łzy, jak codziennie myślał o obozie, jak łączył z myślą o matce wszystkie okropności, o których stale słyszał. Może nikt z dorosłych nie wyczuwał obozowej grozy z tak ostrą intuicją, jak on.

Przyczyna tego wszystkiego, co doprowadziło do jego do- mowej tragedii, była dla niego niejasna; lecz i tutaj wiele przeczuwał intuicją. Tajemnica, o którą nie pytał, przycią- gała go i to w sposób nie dziecięcy. Coś sobie przypominał, wiele dopiero teraz rozumiał. Na przykład, pewne zebrania w domu przy zasłoniętych oknach, albo twarze dorosłych, czasami tak strasznie poważne, że aż złe, kiedy to nie wolno się było wtrącać i Kazek cieszył się, że był małym chłopcem i mógł myśleć o żabach i piszczałkach z ziela — a nie o ta- kich jakichś ponurych sprawach.

I teraz powstało to tragiczne pytanie: po co to wszystko było?

W rodzinie rozmawiali o tym często i coraz mniej oględ- nie; pozorny spokój chłopca wprowadził w błąd także i wujka. Mówili z żalem, kobiety nawet ze łzami; ale potępiali. Że to wszystko było niepotrzebne, że było głupie, że trzeba było siedzieć spokojnie, wyczekiwać, nie porywać się, odepchnąć złudzenia, zapanować nad tą potrzebą bohaterstwa, nad tą niepotrzebną odwagą! Przecież to wszystko było właściwie tylko brakiem opanowania! Własnowolnym ściąganiem na sie- bie nieszczęścia!

I znowu, tak jak zawsze, nikt nie widział twarzy Kazia, wtulonego w kąt, ani nie domyślał się, co się w nim działo.

A więc to wszystko co zaszło, było niepotrzebne! Rodzice popełnili błąd. Tak, jak wtedy okazało się, że ojciec może być bezsilny, tak teraz wynikało, że był także i omylny.

Raz, podczas jednej z takich rozmów, ciotka wyraziła się, że to wszystko było „zabawianiem się w bohaterstwo”. Kazek zrozumiał doskonale, przeniknął do głębi tragicznie lekcewa- żący ton zawarty w tym „zabawianiu się”. Więc wspomnienie tego, co się stało, tego „zabawiania się w bohaterstwo” miało budzić w Kaziu nie dumę, lecz wstyd! Nawet, jeżeli kiedyś będzie miał przyjaciela, takiego prawdziwego, któremu wszyst- ko można powiedzieć, o tym będzie musiał milczeć, bo to, co zrobili ojciec i mama i rodzeństwo, to było głupotą. I przez to teraz ojciec i brat nie żyli, matka i siostra konały w obo- zie! Przez to Kazek został sam jeden na świecie...

\* \* \*

Krewni zdecydowali, że Kazek jest „dziwny”. Właściwie mieli go za całkowicie nieczulego i uważali to za naturalne, że względu na dziwactwa rodziców; jedni czują za dużo a za to ich dzieci za mało. Zresztą chłopiec nie sprawiał im kłopotu i prawdę powiedziawszy mało zwracali na niego uwagi.

Kazek mało przyjaźnił się z kolegami; nie nęciły go zaba- wy, ani śmiech. Także nie lubił czytać; w książkach nic go nie bawiło, ani wzruszało, a zresztą trudno mu się było sku- pić. Za to mógł spacerować godzinami, sam, z pochyloną głó- wą, niby na nic nie patrząc, a wszystko widząc.

Miasto pełne było mundurów i niemieckiej mowy; więc Kazio szedł za miasto, w pole, w zboże. Suche kłosa falowały i uderzały o siebie; pośród ładu biegła miedza świeża jak strumyczek. Kazek siadał na miedzy, przytulał się do ziemi.

Wkoło niego w zbożu, było złościście, pachnąco i ciepło; coś tam szeleściło, coś świerszczało.

A w tej samotności i ciszy i zapachu rumianków — Kazek zaciskał oczy i wywoływał matkę.

Sposób był prosty, zaś skutek niezawodny. Kazek wołał tym swym głosem co niegdyś, tym swoim dobrze zapamiętanym, lekko rozkapryszonym głosikiem najmłodszego w rodzinie: — Mamo, mammo, chodź prędko! Róża zakwitła!

Widzi, poprostu widzi, jak matka w fartuchu podchodzi do okna, z chochlą w ręku. Patrzy na różę, patrzy na Kazia, potem nagle zdaje sobie sprawę, że traci czas.

— A daj mi spokój! Nie nudź! Wiesz, że mam robotę!

Albo Kazek woła radosnym, triumfalnym głosikiem:

— Mamo, dostałem piątkę!

Albo pyta przymilnym tonem:

— Mamo, czy mogę iść z Tadzkiem na Górkę?

Za każdym razem matka staje w pamięci jak żywa; miniony nastrój wraca ze wszystkimi szczegółami.

Było to piękne i straszne. A w domu po powrocie, krewni patrzyli na niego ze zdziwieniem i pytali: „Co ci jest?”

Ale Kazio był jednakże dzieckiem; wzniosła samotność w polu nie mogła mu być nastrojem codziennym. Natomiast codziennie kusily go spacery, zielony cień drzew wśród lipcowego słońca i szerokie aleje, po których można się puścić w pogoń za własnym cieniem.

Długo opierał się pokusie wstąpienia do parku Jordana, który był „nur für Deutsche”. Wreście pewnego bardzo upalnego dnia przestąpił spokojnie bramę i skręcił w wąską alejkę pomiędzy gałązkami bukszpanu.

Taki był przejęty i uradowany swoim wyczynem, taki wpatrzony w park, że nie zauważył niemieckich dzieci, które go wytopiły i śledziły. Ocknął się dopiero, gdy ktoś targał go za ubranie. Wtedy zobaczył obok siebie małe, wrogie postacie, patrzące na niego ze spokojną brutalnością swoich ojców. Małec, który przystąpił do Kazia, już potrafił doskonale naśladować w krzyku ton dorosłych: Raus!!!

Kazia ogarnął strach; dzieci otaczały go bezlitośnie; cofnął się w milczeniu. Gdy podniósł oczy, zobaczył, jak za głowami chłopców patrzyły, ożywione złą ciekawością twarze dziewczynek.

Kazek sponsował; zmienił się w jednej chwili. Nie krzyknął; żadne przewisko nie wydalo mu się stosowne. Pochylił się, podmiósł kamień. Szwabietka cofnęły się przed jego spojrzaniem; ale już nadchodziły posilki w postaci dużego chłopaka z Hitlerjugend.

W gromadzie zapanowało milczenie. „Chociażby nie wiem co, nie dam się!” — myślał Kazek. Dziecinne twarze patrzyły na siebie z niedzielną nienawiścią. Duży chłopiec zbliżył się do Kazia i spróbował złapać go za kołnierz. Wtedy Kazek poderwał się i rzucił naprzód; to podjuzdziło gromadkę, która runęła na niego. Kazek nie upadł na ziemię, zaczął się bronić.

Dzieci zachwycone bójką, chciały załatwić sprawę między sobą bez dorosłych, bo ta walka przeciw jednemu dawała im posmak wielkiego bohaterstwa i wielkiego zwycięstwa. Przez zieloną, chłodną aleję, aż do bramy potoczyło się kłębowisko w dzikim ruchu. Kazia wlokły liczne ręce, kopały liczne nogi, popychały i były liczne pięści. Nad tym wszystkim unosiły się okrzyki, nie częste, ale miarowe i solidne. Dziewczynki pomagały wskazówkami i ciągłym podjudzaniem.

Kazek bronił się. Był pewny, że go wloką do policjanta i że z tego wszystkiego będzie odpowiadał za „pobicie Niemców”, ale bił się dalej. Coraz to któryś z jego prześladowców puszczal go z sykami — i odskakiwał.

W końcu wywlekli go za bramę i cisnęli nim o ziemię; wstał spokojnie, ostatnim wysiłkiem zapanował nad łzami; spojrzął wprost na Niemców. Oglądali swoje sińce i podarte koszule, zerkając groźnie w jego stronę. Jeszcze nie mieli dosyć; naradzali się. Kazek wiedział, że jeżeli teraz nie ucieknie, może być z nim źle. Na wspomnienie o więziennych przeżyciach, aż mu pociemniało w oczach. Ale nie ruszył się, nie uciekł. „Niech się dzieje, co chce, a ja się nie upokorzę!” Stał naprzeciwko tamtych i czekał. Wypiek i podniecenie przeszły mu. Ale dzieci cofnęły się; widocznie z jakichś powodów wołały już zakońzyć awanturę.

Wtedy Kazek otrząpał ubranie, odwrócił się i odszedł.

\* \* \*

Jak to miał we zwyczaju, nie odpowiedział nic na pełne przestrachu pytania krewnych: „Co ci się stało? Jak ty wyglądasz?” Stał się jeszcze bardziej milczący i dziwny. Zdawało się, że nic zupełnie go nie interesuje, że o niczym nie myśli.

Ale pewnego dnia znowu wynikła rozmowa o rozstrzelanych i wywiezionych. I nagle ktoś gorzko powiedział:

— Tak, tak. „Bohaterstwo!” Jakie to niepotrzebne!

Wtedy, z nienacka, Kazio wyrwał się ze swego kąta na sam środek kuchni.

— To nieprawda! Niech ciocia tak więcej nie mówi.

Zapadło milczenie.

— Tatusi i mamusia i Wacek i Halinka dobrze zrobili! Chociażby nie wiem co, nie można „im” pozwolić... nie trzeba się dać...

Zadławił się wzruszeniem; rysy miał tak bezradnie dziecinne, a tak poważne. Stał drżąc, wyprostowując swą małą, głęboko tragiczną postać. Stał, czując wszystko, co chciał powiedzieć, a nie umiejąc tego wyrazić.

Nikt się nie odezwał i Kazek trochę ochłonął. A wtedy zajaśniały mu oczy. Zadrżał i stał dalej wyprostowany, dziecinny i poważny w tej swojej tak dziecinnej a tak bezgranicznie poważnej dumie, że jednak rodzice mieli słuszność, że to straszne, co się stało, było konieczne i że on to rozumiał i że teraz jest to także i jego sprawa.

WILHELM MACH

## Tobie dalekiej

Ulica Murowana, numer 8, drugie piętro, wejście po prawej,  
kamienne schody, zygzak poręczy, skrzynka na listy u drzwi...  
Niebo chyba stąd bliżej, niż mogiłka Twa — Mamo — zgrzebana w murawie  
na cmentarzu w dalekiej wsi.

Nie odwiedziłaś nigdy za życia tej ulicy, tego domu — bo i po co?  
Żaden od Ciebie list nie zbłądził do zielonej pocztowej skrzynki.  
Inni ludzie mieszkali tu wtedy — nieznajomi i obcy,  
gdym w dalekiej Kamionce był Twoim małym synkiem.

Gdybyś wtedy choć raz jeden przeszła drogą, którą przemierzam codzień —  
i poręcze, kłamkę u drzwi, sprzęty w mieszkaniu — bodaj jednym musnęła dotknięciem!  
Gdybyś jednym przez okno spojrzaniem ogarnęła jablonie w ogrodzie,  
— zakwitłyby te ślady mej spóźnionej tęsknocie, jak na listach anielskich pieczęcie.

Zabrałaś mnie za próg śmierci w noc marcową pod umarte powieki,  
zabrałaś mnie, jakim byłem — Twoim małym kochanym chłopcem.  
Cóż Cię mogę dziś obchodzić: człowiek jakiś w mieście dalekim,  
twarzą obcy i sercem obcy — —

I już się nie da tej obcości, co po Twoim odejściu narosła, odrobić;  
nawet zjawą senną nie trafisz do mnie teraz — nie ma rady...  
Pleśniej pamięć tamtych dni zgrzebana w płowiejącej żalobie  
na dnie szuflady.

Ulica Murowana, numer 8, drugie piętro — w zamku zgrzyt klucza,  
kamiennymi schodami w dół, studziennie dudnią kroki, jękla brama.  
Nie zapytał mnie, nikt, dokąd idę — jaką drogą i kiedy powrócę —  
Mamo — Mamo — —

## Noc dziele

Z za okna do pokoju zaprosiłem noc —  
i gdym z księżycem stanął pełnią w twarz,  
zachwyłem jak widnokretem  
chmury wypilem aż do gwiazd.

To była część pierwsza jak marzenie.

Teraz

jednym nagłym ruchem jak różdżkarz,  
zmrók skurczyłem do kąta —  
i  
jak na papierze  
zwolna rozprostowuję w sobie myśl:  
— jestem poetą —

Część druga zahaczyła już o świt,  
i w dzień wpłynąłem  
jak pewnikiem do książki.

NIK ROSTWOROWSKI

## W szpitalu

Odgarnij z czoła złote pasma,  
daj fiołkom kwitnąć pod rzęsami.  
Czego tu chcesz dziewczyno jasna?  
— tym dłoniom płatków róż aksamit,  
tym nozdrzom sinych wrzosów zapach  
(Tu pachnie tylko chloroformem).  
Jeszczebym fartuch ci zachlapał,  
sprowadził nocą sny upiorne.  
Dlaczego stoisz biała siostrze  
i czemu właśnie tu przychodzisz?  
Czy wciąż kojarzysz brzęki ostróg  
z wyrazem: „żołnierz” — ?

„Tacy młodzi” —  
myślałaś może z rozzerwaniem  
i niosłaś ku nam serca trzepot.  
Czy niesiesz również ocalenie?  
Czy możesz przyrzec, tak na ślepo,  
że dłoń zrośnięta z automatem  
potrafi gładzić loki dziecka —  
że będzie mogła sadzić kwiaty  
i strzyc żywopłot przy tych ścieżkach  
na których wczoraj zabijała?  
Bo jeśli tak, bo jeśliś pewna...  
— lecz co ci siostrze? ty drżysz cała.  
Nie pozwól fiołkom żreć wędnąć.  
(Za wiele takich oczu zgąsto  
przez śmierć — nie słońce — całowanych)  
Odgarnij jeszcze raz to pasmo  
co psuje czoła kształt kochany.

Lubię jak stoisz pod tą lampą  
i tak jak przedtem na mnie patrzysz.  
Siostrzyczko, nie potrzebny tampon —  
siostrzyczko, na co mi ten zastrzyk?  
Ty dla zupełnie innych ran masz  
o wiele skuteczniejsze leki:  
Twojego głosu srebrny bandaż  
na rwący ropień czuć kalekich.  
To tylko proszę cię zachowaj.  
O resztę nie troszcz się dziewczyno.  
Rękę mi mogą amputować,  
zranioną duszę zajodnij.

Lublin, październik 1944 r.

## Tryptyk Marii

### I. CZUWANIE

Na białej poduszce śniado-różowa plama — to głowa Piotra. Oczy zamknięte w bolesną kreskę pod sznurkiem wysokich brwi i ostry zarys nosa z niedużym szarym cieniem po lewej stronie policzka — to Piotr. Serce szybko i nierówno bijące pod białą płaszczyzną kołdry — to serce Piotra, klepsydra czasu, który zbyt wolno odmierza wskazówka na zegarze.

Poza czerwonym kręgiem lampy nie ma miejsca, gdzie mogłyby spocząć oczy Marii. Przedmioty promieniują szaro, wysyłając w przestrzeń bezchmurną niechęć koloru. Stół kanclasty ubrany w sztywną serwetę, niczym nie przypomina pełnych radości obiadów. Nie daje przystani oczom szafka kolczastych zielonych kaktusów ani pies z terakoty, łapiący muchy na stole. Czerwony abażur jest jedynym sprzymierzeńcem. Maria zanurza w nim wzrok, żeby nie było spokoju kwadratowych mebli. Ku czerwonemu światłu prężą się rozżarzone jej myśli, jak ćmy nocne, niespokojne i pełne drżenia. Kolor, który sam w sobie jest wiecznym niepokojem, trzyma w centrum łęku i wie się napewno, że o milimetr w prawo nie ma nic strasniejszego i w lewo nie grozi nic więcej. Jest więc światło środkiem cierpienia i stamtąd rodzi się spokój. Ból i pewność, że gorzej już nie będzie.

Nic nie było zbyt proste dotąd. Całe życie, nanizane jak paciorki mozolnych dni na sznurek czasu, niełatwe były i ciężkie. Wszystko gmatwało się i trudnym było wyjście z najprostszych sytuacji. Teraz zaś jak grom czerwony razila w istnienie Marii choroba Piotra.

Srebrna laseczka rtęci w termometrze wspina się ku czterdziestemu stopniom. Srebrny przedmiotek ze szkła ciąży w rekach Marii, bezradnych nagle i słabych. Bezmyślnie sterczą białe fiolki z lekarstwem, zakorkowane w swej niewiedzy. Ręce Marii palą się, chciałyby pobiec ku ich szklanym szyjom. Lecz nic nie daje ulgi Piotrowi poza białym zimnym okładem na czoło. Woda spod kranu chłodzi głowę Piotra i drżenie rak Marii. Jest źródłem życia jak niegdyś, podstawą i nadzieją.

### II. RADOŚĆ

Czerwone, białe i kremowe róże cisną się w zielonym flakonie, dokąd wstawiły je ręce Marii, szybko i namiętne.

— Pachnie Mario, pachnie tu?

— Różami, drogi.

Świat jest wielki, kolorowy i błyszczący.

— Wyjdziemy na taras, Piotrze. Czekaj, pomogę ci. Oprzyj się mocno na moim ramieniu.

Duży jest i ciężki a taki stał się słaby i blady.

Na tarasie w zielonych paczkach kwitną pomarańczowe i złote nasturcje. Pszczoły brzęczą cichutko na kwiatkach.

Z daleka słychać sygnał fabryk i ciche kłaksony samochodów od wyłożonej asfaltem jezdni.

— Jak tylko będziesz silny, pojedziemy do mojej matki. Tam jest jak na wsi — cicho, złoto i beztrudnie.

— Daj mi rękę, Mario. Siądź przy mnie i oprzyj głowę na moim ramieniu. Twoje włosy łaskoczą, choć są miękkie jak jedwab.

— Piotrze.

Nad ich głowami rośnie powoli dałeki warkot motoru. Przez błękitnawe powietrze szybuje srebrna maszyna, donośnym śpiewem wypełnia spokojne powietrze nad wierzchołkami drzew.

— Patrz Mario, leci do nas.

Maria wciska głowę głęboko w piersi Piotra. Dźwięk maszyny w górze jest dopełnieniem szczęścia, którego nie śmie wyszeptać. Teraz przechodzi przez nią to szczęście jak fala, wraz z dźwiękiem płynącym z góry.

Ponad tarasem poranne słońce jedenastą godziną maluje złoto wierzchołki drzew. Szczyt sierpnia. Lata zenit. Szczęście upalne.

### III. ODPOCZYNEK

Maria idzie szybko przez szeleszczący spadłymi liśćmi bruk ulicy. Przed chwilą wyrzuciła ją wraz z gromadą obcych ludzi stalowa maszyna przed jasnym dworcem małego miasteczka.

— Chcielibyśmy mieć, bracie, swoje ciche domy — szepce do siebie pod słyszany myślą tylko rytm własnej piosenki.

La, la. Tu wszystko jest jak sen. Stolica, ciśnięta wtył rzutem stalowych szyn, zniknęła z dymem uchodzącego pociągu. I lokomotywa wioząca Marię zginęła za popielatym kolorem przestrzeni. Nieliczni ludzie wsiąknęli szybko w trakt miasteczkowy i ścieżki polne. Maria została sama z niebieską walizką w ręku.

— W ogrodach, bracie, piwonie i malwy żółte, czerwone — śpiewa Maria niedużym głosem poprzez czyste powietrze jesiennego południa. Babie lato wypełnia ścieżki. Maria schodzi w bok, na miedzę. Nogi zapadają się w łagodne złoto liści. Promienie słońca prześwietlają blado złotym kolorem powłokę dnia. Zza zakrętka wychyla się czerwonym dachem dom pocztmistrza. A dalej niebieska apteka i sztyld błękitny z aniołem białym. Na gałęzi, przy balkonie, śpiewa gromada wróbli.

— Dzieci w ogrodzie naszym, bracie, z główkami złotymi jak zboże — nuca myśli Marii.

Na drutach telegraficznych biegnących równoległe z jej drogą, ptaki malują czarnymi nutami melodię nienazwaną. Któż potrafiłby właściwie określić o czym się myśli, kiedy nie myśli się wcale a jednak brnie się przez złote, jesienne południe, w twarz słońcu.

— Jutro przywiozę Piotra.

Wozy z cegłą czerwoną trzeszczą przez szerokość drogi, przewalając się na boki sucho i jazgotliwie. Ciepłotą czerwonego koloru można by ogrzać wiele zimowych dni, okien pozabijanych, nieszczelnie utkanych mchem, któredy wkrada się mróz.

— Latem, bracie, w strumieniu pstrągi niebieskie jak woda.

Maria brnie przez złoto chrupkich liści. Istnienie jest poza myślą i poza świadomością, gdy — frazy jej zmieniają się stale.

Jest stanem półenu, szczęśliwym trwaniem w czasie i przestrzeni. Jest — odpoczynkiem.

## Podwórko

*Dom mój — to własność mojego ojca  
i synom bywa za mieszkanie.  
Wiek z wiekiem krawędźmi się trąca —  
te prawdy umiem na pamięć.*

*Gałęźmi ciemnej zieleni wiatr ściera  
ze ściany matczynej białe wapno.  
Na tamtą stronę — stodołę świl otwierał,  
a od tej zmierzch ją skobłem zamknął.*

*Podwórko. Pod płotem ziele, żdźbła słomy.  
Tędy wóz zwykle wybiegał do miasta.  
Ku łące ścieżka chodziła się omyć.  
Dziadek pomarli. Był ojciec. Wnuk nastal.*

*Wiatr omiata gałęźmi dach z blasku.  
Drzewo się wzbija, dom wysokość skraca.  
Kołysz, kołebko, ścian znajomych nastrój,  
by łatwiej było do matki powracać.*

*Z daleka od łąk, po twardej ścieżce  
stopy w kraciasłym chodniku ustawiam.  
A wiersz się miękko nawija na serce  
i szuka domu. I dom odnawia.*

# Przekłady

z najnowszej poezji rosyjskiej

HALINA NIKOŁAJEWA

## Moje wiersze

*Druhu, te wiersze szorstkie i tęskne wybaczysz —  
ja nie umiem pisać inaczej.*

*To ochryply od krzyków, trudny i ciężki  
oddech wojny — zrodził me, pieśń.*

*Oto radość i ból przez kraj się przelały,  
i słowa — nim myśli dognają —*

*już zapomniane na zmiętej kartce, puste  
leżą, jak w zrytym piasku z naboju łuski.*

## Dla was

*Dla was, poległych, którzyście piersiami  
kraj zasłaniali idąc mężnie na śmierć —  
prawdziwymi, żarliwymi słowami  
pisać się uczę. Dla was pisać chcę.*

*W czasie, gdyśmy się — z rozpaczą — cofali,  
szeregi rzedy, nie jeden druh padł.  
Głnący — wtedy mnie głos przekazali,  
bym kiedyś o nich zaczęła mówić ja.*

## Bahaterka Stalingradu

*Na młodziutkim licu ślad:*

*— blizna z świeżo przebytych bitw.*

*Spytaliśmy: „Ile masz lat?”*

*Zaśmiała się. Rzekła żartem: „Trzy”.*

*Ona to czterdziestym drugim roku,*

*z ogniem w oczach, nie wiedząc co strach —*

*biegła sama przeciw wroga czołgom,  
w rękach dzierząc granaty dwa.*

*Tak. Czterdziesty drugi to rok.*

*Przez śmierć, miłość, i zemsty gniew,  
pośród huku armat i bomb  
z ognia na nowo rodziła się.*

Przełożyła Tatiana Topolska



Rys. Ster

„WALKA”

(Adam Włodek i Tadeusz Jęczalik)

## „Satyra prawdę mówi...”

Niewiadomo dlaczego żadne z pism artystycznych nie posiada stałej kolumny satyry literackiej. A jest to przecież artykuł „pierwszej potrzeby”.

Nazwano kiedyś „Odrodzenie” — odrodzeniem... „Wiadomości Literackich”. Złośliwe to i słuszne. Lecz jedna nieścisłość: „Wiadomości” miały chociaż humor. I to czasem niezły. Jeśli więc podtrzymuje się tradycję na mniej chlubnych punktach — można by i na tym.

Ale „Odrodzenie” znane jest i tak powszechnie ze swej olbrzymiej popularności. Już dawna koleśka głosiła, że:

w dołu nowego „Odrodzenia”  
radość wszelkiego stworzenia,  
cieszy się nawet Zecheńer —  
(...dokąd kartki nie rozciął)

Od wielu jednak tygodni dowcipna redakcja, (zawsze obawiałem się zagadkowego uśmiešku red. Kuryluka!) postarała się, by czytelnik otrzymywał już egzemplarz gotowy, rozcięty jeszcze w drukarni. Tak więc pozbawiono nas nawet tej chwili optymistycznej niepewności: „a może tym razem numer jest ciekawy?...”

Lecz oderwijmy się na moment od tak wdzięcznego „odrodzeniowego” tematu — i przejdźmy do naszych spraw. Przypominam sobie, jak to po przetrwaniu przez nas wydawania „Walki” — redakcja „Dziennika Polskiego” urządziła w związku z tym całonocny bankiet pożegnalny. Wtedy to musieliśmy, w odpowiedzi na różne przemówienia, wzniesić toast. POCO zaś sięgać daleko — pomyśleliśmy — skoro „TOAST” już jest. (Jest również „KARABIN”). A że nasz ówczesny redaktor naczelny Jerzy Putrament postanowił opracować nową wersję tych swoich wierszy, i dla zaoszczędzenia miejsca w druku skrócić owe dwa utwory i połączyć w jeden — zamiast więc „toastu” i „karabinu” została tylko „fuzja”.

Chłopcze, chrapiący w rowie, spileś się „Pod wiechą”.  
We śnie wspominasz „czystą” — do niej się uśmiechasz.

Karabin odrzuciłeś, czapka spadła z głowy.  
Spisz i wdzisz bulełek rzędy kolorowe.

A więc je w zachwyceniu rękami oblema  
chcesz do serca przygarnąć. Chłopcze, zbudź się, niema



niema, niema już wódki, zakąsek ni ciasta,  
niema twojej dziewczyny, niema przyjaciela.

Już dawno po pomocy, w mgłach szarzeje miasto.  
Minęła już rozkoszna urlopu niedziela.

Lecz kto chce — niech się wzdryga,  
niech prawdę w mroku chowa,  
niech chłopcu wlepi łzę,  
niech z oburzenia kipi.

Naprzekór wszystkim spróbuję  
rzucić obrony słowa:  
— marną daliście mi wódkę,  
a więc się urznął, gdy wypił.

A choć ponury jej zapach,  
choć trochę traci benzyna —  
musimy łopać ten napój,  
kiedy zabrakło wina.

Likieri się skończyły —  
my, dawniej salonów glermk,  
poznajemy smak „czystej”  
upajający, choć — cierpkim...

Lecz cierpkim nie był ów uśmiech, jaki rysował się na na-

szych podejrzenie spokojnych twarzach. Mieliśmy bowiem już  
wtedy w zanadrzu „INACZEJ”.

Zanim jednak wznowimy własne pismo (— pomysleliś-  
my —) można będzie przecież drukować swoje utwory w „Od-  
rodzeniu”. Tam też się wybraliśmy. Pełni otuchy zadzwoni-  
liśmy do drzwi redakcji. Lecz na nasz widok „zespół” po-  
czytnego tygodnika śpiewać zaczął hymn redakcyjny, prze-  
robiony z jednego z najbardziej znanych wierszy Juliana a  
Przybośia — „POKI MY ŻYJEMY”:

Stos rękopisów ponad wysokość mają  
wzrosł,  
biurko łamie się z trzaskiem.  
Lecz niechaj każdy młody wie, że tu  
o druk biegać musi, jak skazaniec o łaskę.  
Więc często wzrokiem naszym stracony z nóg  
przepada za drzwiami.

Żegnamy was, chroniących w innych piśmach głowy,  
— tego wam nikt nie bronil  
I tak tu, w redakcji szczelonym schronie,  
z wciąż piszących ostatniego ictu,  
„Odrodzenia” numer wyjdzie nowy.

„Twarze nam zgorzkniały” — jak powiedział kiedyś Świa-  
topelk Karpiński.

Adam Włodek

# KRONIKA ARTYSTYCZNA MŁODYCH

## „WALKA”

„Walka” — tygodnik literacko-społeczny młodych ukazywał się auto-  
nomicznie w ramach „Dziennika Polskiego” w Krakowie, od 28 lutego do  
7 lipca br. redagowany przez Adama Włodka i Tadeusza Jęczalikę.  
W czasie tym, w 15-tu numerach drukowano utwory następujących autorów:  
Kazimierza Adriana, Romana Artymowskiego, Krzysztofa Baczyńskiego  
(Bugaja), Leśława M. Bartelskiego (Gleruta), Witolda Benedykłowicza, Da-  
nii Biełcherówny, Romana Bratnego, Jerzego Cieślakowskiego, Jerzego  
Dankiewicza, Tadeusza Gaycy (Topornickiego), Akwilly Gawlik, Janusza  
Jasińskiego, Tadeusza Jęczalikę, Bogdana Lama, Jerzego Lasa, Włady-  
sława Machajka, Edwarda Marca, J. Mich., Tadeusza Nuckowskiego, -Mie-  
czyława Piekło, Jerzego Pogorzelskiego, Nika Rostworowskiego, Macieja  
Słazka, Leona Strolńskiego (Chmury), Wiktora Szczerskiego, Wisławy  
Szyborskiej, Jerzego Totos-Oriewskiego, Adama Włodka, Kazimierza  
Wolkowicza, Zbigniewa Zeszytanowskiego, Zofii Żytyńskiej, Stanisława  
Żytyńskiego.

Ogółem 32 autorów — 104 prac literackich. Z tego na poszczególne  
rodzaje publikacji wypadają następujące cyfry: Wiersze i fraszki — 57,  
artykuły literacko-społeczne — 20, fragmenty prozy artystycznej — 3,  
recenzje i sprawozdania — 15, felietony i notatki — 9.

Zespół „Walki” — jedyny w Polsce piśmi literackiego młodych,  
przegrupowany i uzupełniony nowymi kolegami, zamierza kontynuować  
swą działalność literacko-wydawniczą.

Powody zawieszenia „Walki” podano w artykule w nr. 15-ym, zamy-  
kającym całokształt działalności.

Nie od rzeczy będzie podkreślić tutaj, że ówczesny nasz redaktor na-  
czelny Jerzy Putrament był pierwszym z pośród „starszych”, który inicy-  
jatywą swą wyszedł naprzeciw zamierzeniom i pragnieniom wstępujących  
w życie literackie młodych pisarzy, ułatwiając wydatnie publikowanie  
ich utworów.

## KRAKOWSKI KLUB MŁODYCH LITERATÓW

Powstał 22 marca br. przy Związku Zawodowym Literatów Polskich  
w Krakowie z inicjatywy prezesa Związku dr. Kazimierza Wyki. Opie-  
kunem jego został znany prozator Stefan Olwinowski. Odbiło się 18 zebrań,  
poświęconych: zagadnieniom literackim i teatralnym, omówieniu twórczo-  
ści młodych oraz wieczorkom autorskim członków Klubu. — Referaty,  
względnie przemówienia wygłosili: Julian Przybóś, Kazimierz Wyka, Ste-  
fan Olwinowski, Adam Polewka, Czesław Miłosz, Władysław Bodnicki,  
Roman Szydłowski, Adam Włodek, Wilhelm Mach i Tadeusz Jęczalik.  
W ramach wieczorków autorskich utwory swoje recytowali: Roman Ar-  
tymowski, Jerzy Cieślakowski, Tadeusz Jęczalik, Zofia Karas, Wilhelm  
Mach, Tadeusz Nuckowski, Jadwiga Orzechówna, Jerzy Pogorzelski, Nik  
Rostworowski i Adam Włodek. Ponadto w jednym z odczytów został Klub  
zapoznany z dotychczasowym dorobkiem: Akwilly Gawlik, Wisławy  
Szyborskiej, Zofii Żytyńskiej, Jerzego Dankiewicza i Władysława Ma-  
chajka.

Od 28 lipca do drugiej połowy września br. działalność Klubu Młodych  
została na okres letni przerwana.

Oto w paru słowach skrócone narodzenie i pierwszy etap życia na-  
szego Klubu. Jak zwykle przy zamknięciu jakiegoś czasu okresu przeglą-  
damy jego aktywa i pasywa. Porównujemy je, oceniamy i wyciągamy  
wnioski.

Niewątpliwym osiągnięciem Klubu jest fakt, że zgrupował on cały  
szereg młodych talentów i stworzył taką atmosferę, w której mogły  
one się rozwijać i niejednokrotnie dojrzeć. Wiele z nich posiada już  
swoje „nazwiska”, które (przynajmniej na gruncie krakowskim) prze-  
stały być pustymi dźwiękami. Jest to zasługa wielka i niezaprzeczalna.

Lecz to właściwie wszystko. Z pośród „starszych” literatów, którzy  
deklarowali swój udział w opiece nad młodszymi kolegami, na placu  
pozostali właściwie tylko: Stefan Olwinowski, Kazimierz Wyka, Adam  
Polewka i Władysław Bodnicki. Im też należy się z naszej strony po-  
dziękowanie.

Alie gdzie inni? Dlaczego przeoczyli oni wspaniały moment czuwania  
nad należytym „wykształceniem” swoich, bądź co bądź, następców.  
Czyżby zerwanie Klubu były zbyt „niekimi progami”? My nie chcemy,  
by „starsi” fawent, niektórzy „młodzi” świetnie ich w tym nasludo-  
jący, zagląдали do nas tylko przez uchylone drzwi między jedną a drugą  
„kolejką”. (Obek jest hufet.)

Krakowski Klub Młodych Literatów jest częściową realizacją zapo-  
więdzianej opieki nad młodymi talentami. Związek przyrzekł dalsze  
i konkretniejsze współdziałanie. Słyszeliśmy też coś o projekcie „Studia  
Literackiego”. W żadnym jednak wypadku nie powinno się ono stać  
„szkołą” dla młodych pisarzy. Dotychczasowa działalność Klubu (spoi-  
ność wewnętrzna już jest!) winna być tylko uzupełniona częstymi od-  
czytami tych starszych pisarzy, którzy uważają, że łączy ich coś z nami:  
i że mają nam coś do powiedzenia. Może przecież znajdzie się ich więcej,  
niż notychczas.

T. J.

## PONIEDZIAŁKI TEATRALNE W KLUBIE MŁODYCH.

Przebieżeniem czwartkowych zebrań Klubu Młodych są poniedziałkowe  
gawędy o teatrze. Dyskusje teatralne prowadzi znany pismarz Adam Po-  
lewka. Poprzedza je zwykle sutor czy autorka z Klubu odczytaniem swej  
sztuki, po czym następuje krytyka utworu. Każdy utwór rozpatruje się  
od strony formy, treści, postaci bohaterów, momentów społecznych —  
wreszcie szczegółności. Dyskusja toczy się zazwyczaj bardzo żywo. Uczymy  
się krytyki, uczymy się na dobrych przykładach jak pisać sztukę, na  
złych — jak ich pisać nie należy. Teatry czekają na ciekawy, odpowia-  
dający rzeczywistości dzisiejszej repertuar. Prace nasze traktowane są więc  
poważnie i każda nadająca się na scenę zostanie wykorzystana. Z pośród  
wszystkich czytanych dotychczas sztuk najlepszą jest komedia kol. Wła-  
dysława Lecha pt. „Różni ludzie”. Żywa, barwna dowcipna, pełna ruchu,  
operująca doskonałymi postaciami bohaterów przeważnie groteskowych —  
porusza sprawy najaktualniejsze i zostanie wystawiona w niedługim już  
prawdopodobnie czasie. Poza sztuką kol. Lecha czytane były utwory  
sceniczne kol. kol. Andruszkiewiczówny, Orzechówny, Duawskiej, Lipskiej,  
Rutkowskiej, Piekarskiej, Serwin. Zebrań odbyło się narazie jedenaście.

H. P.

## TEATR AKADEMICKI W ROTUNDZIE.

Teatr Akademicki w Rotundzie rozpoczął swą działalność wieczorem  
poświęconym twórczości Józefa Czechowicza. W pierwszej części pro-  
gramu zostało wygłoszonych dziesięć wierszy. Recytowały studentki.  
Drugą część obejmował moralitet pt. „Niegodzien i godni”. Jest to utwór  
udrzałowy, utwór przez który przebija katastrofizm posty. Świat  
cały jest tramwajem jadącym na przeciw własnej zagłady. Skłóceniu  
pasażerowie zdają się nie rozumieć zbliżającej się katastrofy, nie wiedzą,  
gdyż nie wyręgniętej reki upominającego ich konduktora. (Nie od rzeczy  
będzie zaznaczyć, że sztuka ta została napisana na krótko przed wybu-  
chem wojny).

Dekoracja przedstawiająca wnętrze tramwaju plewazorzędna w pomysł,  
nadzwyczaj prosta. Sześć czarnych parawanów pochylających się na „za-  
kreślach” i biała rączka, której trzyma się jeden z pasażerów — to  
wszystko. Sami pasażerowie ubrani jaknajdziwniej, stanowili kontrast  
z tłem. Wszyscy aktorzy-amatorzy grali dobrze. Ciekawa była oprawa

30.

muzyczna moralitetu. Oddawała ona łącznie z doborami katastroficzną nastroj utworu.

Przedstawienie poprzedzone było słowem wstępnym o Czechowiczu pióra Adama Włodki. W ten sposób zapoznani się pokrótce widzowie z życiem i twórczością poległego w 1939 roku poety. Reżyseria i dekoracja Tadeusza Kantor, praca organizacyjna kierowniczką teatru Zofii Karasiówny oraz opieka Tadeusza Kwiatkowskiego nad stroną recytacyjno-literacką — przyczyniły się do udanego wieczoru w Rotundzie. Przedstawienie powtarzano trzykrotnie 2—4 sierpnia br. H. P.

#### TEATR „GROTESKA“

Teatr „Groteska“ w Krakowie przy ul. Skarbowej 2 — to pierwszy w Polsce teatr lalki i aktora. Możliwości sceniczne tego teatru są ogromne. Reprezentować może wszystkie bez mała gałęzie sztuki. Znajdzie tu pole do popisu artysta malarz, dekorator, muzyk, wreszcie poeta. Utwór sceniczny dla teatru „Groteska“ musi być oparty o wszystkie elementy, jakie daje nam do wykorzystania aktor i lalka. Narazie pisarza dla tego teatru właściwie nie ma. Wszystkie koncepcje, wszystkie nowe pomysły rozbijają się o brak ludzi pióra, którzy mogliby i umieli zrealizować je. „Groteska“ czeka na pisarza. Wziąć udział w tworzeniu nowego rodzaju sztuki scenicznej powinna przede wszystkim młodzież literacka, młodzież, która by podeszła do zagadnienia w sposób oryginalny, nowy, z właściwą sobie wyobraźnią i dowcipem. Tak mniej więcej naświetlił ten kwestię artystyczny opiekun „Groteski“ dyr. Władysław Jarema na jednym z zebrań Klubu Młodych.

„Groteska“ — teatr narazie jeszcze skromny i niewielki, ma przed sobą możliwości stania się teatrem na miarę moskiewskiego Obrascowa. Nie tylko względy czysto estetyczne przemawiają na korzyść „Groteski“. Gdzież bowiem tak, jak na scenie tego teatru, wykorzystać można momenty satyryczne i przedstawić stounki panujące wśród społeczeństwa. Można też korzystać z postaci zwierzęcych, jak korzystali z nich w swych bajkach Ezoop czy Lafontaine.

Zadanie stojące przed kierownictwem „Groteski“ jest trudne, zważywszy, że teatr ten nie ma u nas żadnej tradycji. Przed wojną osiągnięcia teatrów marionetek były nikome. Marionetka służyła bądź szopce politycznej, bądź bajce dla dzieci, przy czym nie starano się o osiągnięcie odpowiedniego poziomu artystycznego. Można więc śmiało powiedzieć, że teatr lalki i aktora zaczyna „od powijkaków“.

Pierwsze jego dziełko: „Cyrk Tarabumba“ — było widowiskiem zaskakującym na całkowite uznanie. Marionetki śliczne, każda utrzymana w typie, każda zręczna, poruszająca się na scenie jak żywa. Dekoracje, bardzo dobre, tekst miły, łatwo wpadający w ucho, muzyka świetnie ilustrująca nastroj cyrku. Ciekawa w pomysł, szczerze liryczna jest rozmowa dwóch Gagatków: aktora i lalki. Chwył ten można wykorzystać konsekwentnie w dalszych sztukach tego typu.

Publiczność Krakowa oceniła i zrozumiała wartość „Tarabumby“, o czym świadczy liczba przedstawień przekraczająca 80.

Drugim z kolei widowiskiem na scenie „Groteski“ jest intermezzo operowe Pergolesiego pt. „La serva—padrona“. Tym razem lalka ustąpiła miejsca żywym aktorom, (rekrutującym się z posród młodych.) Muzyczna strona spektaklu jest bez zarzutu. Niewielką orkiestrą smyczkową dyrygował jeden z najmłodszych muzyków Jerzy Prochner. Orkiestra doskonale wczuła się w klasyczną harmonikę Pergolesiego i Mozarta, (którego uwerturę grała przed spektaklem). Partie Leszka Chobola (Uberto) znakomita duża kultura muzyczna, Krystyna Zukowska (Serpina) wdzięczna, zaletna, o ciepłym, miłym głosie, Bronisław Pawlik (Vespone) zabawny, o świetnej mimice, wykorzystywał wszystkie momenty ewj młoczącej roli. Rozwiązanie dekoracyjne ciekawe. Jedynce, co można zarzucić widowisku — to akcja, w której za mało się dzieje i która czasem nuży.

Z zainteresowaniem śledzimy rozwój „Groteski“. Pragniemy, aby w następnym programie pojawiła się obok żywego aktora — lalka.

H. P.

#### STUDIO TEATRALNE W KRAKOWIE

Studio Teatralne, zajmujące się kształceniem młodego narybku aktor-skiego, istniejące przy Starym Teatrze w Krakowie prawie od początku jego działalności — poszczycić się dziś już może konkretnymi wynikami. Oto suche zestawienie:

„Beksa“ — widowisko dla dzieci, pióra i reżyserii znanej artystki Marii Biliżanki, zostało wykonane w całości siłami Studia Teatralnego. Pównież parodia „Męża doskonałego“, napisana przez A. Szczepkowskiego, odegrana została przez młodych słuchaczy Studia. Przez nich też obsadzone były częściowo poszczególne role w „Teorii Einsteina“ Cwojdzin'skiego i w widowisku teatralnym „Cyd“ P. Cornelle'ia.

Na osobne podkreślenie zasługuje wystawienie w ostatnich tygodniach własnymi siłami Studia dwu sztuk: St. Wyspiańskiego „Powrót Odysa“ — (reżyseria i dekoracje asystenta scenografii Studia Tadeusza Kantora), oraz K. H. Rosławowskiego „Niespodzianka“ — pod kierunkiem znanego dramaturga Wiesława Goreckiego. Jeżeli wybór sztuk mógłby wzbudzić pewne zastrzeżenia — to jednak sama gra młodych adeptów sceny zasługuje na pełne uznanie. Sprawdzają się słowa twórcy Studia — dr. Jerzego Ronarda-Bujańskiego, rzucone w 4-ym n-rze „Frontu Teatralnego“, że „młodzi poczuli smak sceny, wstąpili — poprostu — w nurt teatralnej rzeczywistości, bez oklamywania — i bez patosu“. Chodzi tylko jeszcze o to, by zaopiekować się „własnym, młodym repertuarem“ — kończy autor cytowanego artykułu.

Sprawa istotnie najpoważniejsza.

A. W.

#### DWA TOMIKI.

Władysław Machejek: „Lesne ocean“ — poezje. Kraków 1945, skład główny: Krakowska Spółdzielnia Księgarska „Czytelnik“. Stron 32, cena zł 20.—.

Wiersze Machejka — to wiersze partyzanckie, pisane dosłownie „w lesie“. W szereżach Armii Ludowej walczył poeta o lepsze jutro kraju. Pochodząc ze wsi, rozumie doskonale jej tragizm:

...moja Krzyżowana, moja Ludowa...  
zwy-cię-życ i i i

W lesie dojrzewa jego nienawiść przeciw złu. Walczy z nim wszędzie tam, gdzie je spotka; czy u Niemców, czy u rodzimej en-es-zelowskiej reakcji. Częścią walki są jego wiersze, których tworzenie traktuje jako funkcję społeczną:

Siebie oddam na aijsz ma chlopska ojczyzno,  
mój wiersz na gońca.

Lecz przeadnie realizowanie tego postulat przynosi utwory, odznaczające się pewną chropowatością formy poetyckiej. Jak to już podkreślił w „Dzienniku Polskim“ Wilold Zechenter — są owe słabsze wiersze Machejka zbliżone do agitacyjnych poematów Czuchnowskiego. Lecz wraz ze zwalczaniem ujemnych wpływów wojny, w odpowiedniejszych niż partyzanckie przypetie, warunkach dla swej twórczości — wypracuje napewno poeta własny wyraz artystyczny, którego zapowiedzią jest wiele utworów otaczanego zbiorku. Choćby taki piękny fragment:

Jakże będzie radośnie  
wiersz o pokoju napisać,  
gdy odpowiadać będzie  
z gruzów Berlina cisza.  
Gdy odpowiadać będą oczy  
dziecące i spokojne —  
i tylko kropka krwi w muzeum  
mówić będzie o wojnie...

To co w lipcu 1944 (data napisania wiersza) było jeszcze marzeniem — oglądamy dziś oczyma rzeczywistości.

T. J.

Adam Włodek: „Najcichszy sztandar“ — poezje. Kraków 1945, nakładem Krakowskiej Spółdzielni Księgarskiej „Czytelnik“. Stron 32, cena : 20.

Tomik Adama Włodki jest lirycznym pamiętnikiem z lat 1939—1945, i, iat najcięższej w dziejach naszych okupacji i wojny o wolność narodu. Od dni tragicznego wczesnia 39, gdy:

w dymach płonących wsi  
nie słyszał wołania nikt.

Za małe było broni. Nie odstąpił jej nawet poległy —

poprzez okrutne lata ucisku, kiedy:

pałal w ziemię  
z płonących serc popiół szary —

i:

w jedne ścieki obozów wspólna spływała krew —  
kiedy psanie wierszy było modlitwą:

— niech nas ostatni raz zżawi  
pietworodny dziejów syn,  
rękami wieków wykolysany  
karabin —

aż do ostatnich niemal dni, utrwała autor wiersze historycznych wydarzeń. Tomik kończy się wierszem pt. „Zwycięstwo“

Słowa o krew pełniejsze  
pieśnią pokoju płyną...  
Jak bukietek zieleni i kwiatów  
nad łufą karabinu.

Apel wolności, Brak milionów.  
Śmierć ich zna tylko morderca.

Tylko ziemia,  
powietrze,  
ogień,

morze —  
najgłębszą prawdę o nich wie.

Dziś jak sztandar — nad ostatnim poległym  
pochyla się mój wiersz.

Obok wierszy wojennych znajdują się w zbiorze A. Włodki erotyki, przepojone subtelny liryzmem. Jeśli zaś chodzi o wszystkie wiersze poety, o ich, że tak powiem, stronę formalną — są one kontynuacją osiągnięć awangardy krakowskiej. Niema tu jednak mowy o czystym awangardyzmie: zaznacza się już pewien krok naprzód, w stronę większego rozjaśniania znaczeniowego utworu i udźwięcznienia rytmiki. Choć autor ma szczęście stać dopiero na progu twórczości, omawiany tomik jest już jednak w dużej mierze osiągnięciem samodzielnym.

T. J.

### „ŚWIETLICA KRAKOWSKA“

Dwutygodnik. — Stron 16. Cena 5 zł.

Redakcja: Kraków, Dunajewskiego 1, II p.

Nakładem „Biblioteki Świetlicy Krakowskiej“ ukazały się ostatnio MARIAN M. OSTREGA — *Tryumf dzień*, montaż inscenizacyjny na święto demokracji. Cena 20 zł.

MARIAN MIKUTA — *Z gruzów powstaniesz wspania-ła* — montaż inscenizacyjny z dziejów Warszawy. Cena 15 zł.

Zamówienia kierować do Administracji, SPÓŁDZIELNI WYDAWNI-CZEJ „CZYTELNIK“, Kraków — Wielopole 1, lub do WOJEW. DOMU KULTURY, Kraków — Dunajewskiego 1, I p.

# „CZYTELNIK”

SPÓŁDZIELNIA KSIĘGARSKA

z o. u. w Krakowie

Założona w roku 1938, związana z ruchem społecznej demokracji, przeprowadziła do wojny szereg prac pionierskich, wydając tanie książki z zakresu społecznego i oświatowego. Część wydawnictw uległa wtedy konfiskacie. W okresie okupacji niemieckiej Spółdzielnia nie prowadziła zupełnie legalnej działalności wydawniczej, utrzymując jedynie księgarnię oraz 5 bibliotek w ośrodkach robotniczych i wiejskich. Po okupacji wznowiono działalność wydawniczą. Do tej pory ukazały się następujące książki:

Stanisław Thugutt — Listy do młodego przyjaciela . . . . .	5 zł
Jerzy Lau — U płomienia, poezje . . . . .	15 zł
Adam Włodek — Najcichszy sztandar, poezje . . . . .	20 zł
Władysław Machejek — Leśne oczy, poezje . . . . .	20 zł
Leszek Staronka — Sens istnienia popularny zarys filozofii . . . . .	45 zł

W druku znajduje się Ustawa o Spółdzielniach z komentarzami, w opracowaniu prof. dr W. Siedleckiego.

## Spółdzielnia prowadzi:

- Sklepy: Nr. 1 — Rynek Główny 34, Nr. 2 — ul. Łobzowska 6, Nr. 3 — ul. Na Stawach;
- Pracownię oświatową wraz z biblioteką naukową (ul. Bracka 6), przygotowującą do druku wydawnictwa tego typu, jak Biblioteka Uniwersytetów Robotniczych, Biblioteka Oświaty Powszechnej itp., oraz gromadzącą materiały w zakresie oświaty dla dorosłych;
- Biblioteki oświatowe: 1 — w Krakowie, ul. Król. Jadwigi 19, 2 — ul. Czarodziejska 52, 3 — w Sułkowicach, 4 — w Białej k. Makowa Podh.

Spółdzielnia współpracuje w dziale handlowym z szeregiem bratnich instytucji spółdzielczo-księgarskich na terenie Rzeczypospolitej Polskiej.

# „SPÓLNOTA”

ZJEDNOCZONA SPÓŁDZIELNIA PRACY

z o. u. w Krakowie

„SPÓLNOTA” powstała z połączenia się następujących Spółdzielni: „STRAŻ”, „MAŁOPOLSKI PRZEMYSŁ CHAŁUPNICZY”, „SAMOPOMOC”, „OSIEDLE”. Rozumiejąc spółdzielczość jako ruch współdziałający w przebudowie ustroju społecznego w Państwie, Spółdzielnia nasza nawiązuje do tradycji tzw. spółdzielczości zrzeszeniowej z okresu wielkich ruchów społeczno-rewołucyjnych z ubiegłego stulecia.

Ujmując inaczej zagadnienie spółdzielczości przeciwstawia się drobnomieszczańskiemu pojmowaniu spółdzielczości jako ruchu samoobrony warstw ubogich, który to ruch wywodzi się z zasad pionierów roczderskich.

## Biuro Spółdzielni mieści się w Krakowie, ulica Jagiellońska 8, I piętro

Spółdzielnia prowadzi działy: produkcyjny, handlowy, opieki społecznej, pomocy leczniczej i usług. Spółdzielnia posiada sklepy w Krakowie przy ul. Szewskiej Nr. 61 ul. Lubicz 22, oraz prowadzi działalność przez następujące Oddziały: w Sułkowicach (ośrodek przemysłu kuziennego), w Białej k. Makowa (ośrodek przemysłu drzewnego), na „Osiedlu Spółdzielczym” (ośrodek mieszkaniowy), w Dębnikach (Wytwórnia Wyrobów Metalowych), w Sieprawiu (ośrodek szcztokarski). — Spółdzielnia współpracuje również z ośrodkami drobnych wytwórców i chałupników w Świątnikach, Zembrzycach i Samsonowie.

## „ZAGRODA”

SPÓŁDZIELNIA WARZYWNO-HODOWLANA

z o. u.

W KRAKOWIE, UL. TYNIECKA 80

Prowadzi działy: warzywny, hodowlany, przetwórczy.

Spółdzielnia jest pierwszą w Polsce próbą prowadzenia na roli zbiorowej gospodarki, opartej o zasady spółdzielczości.

## „OSZCZĘDNOŚĆ”

PRACOWNICZA SPÓŁDZIELNIA  
KREDYTOWA

z odp. udziałami

KRAKÓW, JAGIELLOŃSKA 8.

Przyjmuje

Wkłady oszczędnościowe

prowadzi

rachunki bieżące, udziela pożyczek

P. II.  
413